



## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie r. s. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26.

**Treść Numeru.** Listy z Włoch Tadeusza Jerzego Steckiego. — Korespondencja z Wiednia — Podróż po Danii. — Ekonomia domowa. — Rozwój oświaty w Cesarstwie. — Pamiętnik Wacławy przez Elżę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

### LISTY Z WŁOCH

Tadeusza Jerzego Steckiego.

#### I.

Florencja w Lutym 1871 r.

W żadnym kraju cywilizowanej, chrześcijańskiej Europy nie drukowano i nie czytano nigdy tyle złych i niemoralnych książek, jak we Włoszech gnieździe rodzinnem papieżstwa.

Działo się to po wszystkie czasy, na całej przestrzeni włoskiego półwyspu, nawet w Rzymie, pomimo klątw, czujności władz pontyfikalnych i przesładowań. Dziś jednak z upadkiem papieżstwa i upadkiem Rzymu, rodzaj ten zgniłej literatury potwornego wydawnictwa, w pewnych warstwach społecznych w szczególności wszedł modę, rozgnieździł się jak nigdy, prasa mu wtoruje, jak to mówią bębenka podbija, a rytownictwo we wstrętnych karykaturach rękę podało: jest to literatura *pro domo suo*, na dobie. Broszury i książki nie starczyły już, przysłała kolęj na obrazki, ryciny, karykatury. W tych ostatnich celuje mianowicie wychodzące we Florencji ilustrowane piśmiemko à la Charivari: *Il Lampione*.

Pomimo jednak całej wstrętności tego rodzaju wydawnictwa, nie można zaprzeczyć Włochom nawet w tych brudnych farsach i karykaturach pewnej dozy dowcipu, humoru, coś niedaleko z francuzkim graniczącego. Sami nieraz śmieliśmy się do rozpuku, gawroniąc się jak i inni, przy wystawach oszkolonych budek gazeciarskich, gdzie te humorystyczne płody zwykle wystawiane bywają, dla cisnącej się tłumem publiczności. Samo z siebie, krwawa wojna tocząca się obecnie w Europie, pomimo smutnego swego nastroju, dostarczyła i dostarcza wydawcom takich *Lampionów*, ogromne pole do dowcipnych popisów, nieprzebrany materiał do obrazów. Ale nie o tem właściwie chcieliśmy mówić — było to i jest wszędzie, nawet w Paryżu w ostatnich czasach, gdzie przy muzyce dział Kruppa, nieśmiertelny Charivari do ostatka wychodził, a gorące od bomb jego koncepta,

na wyścigi powtarzały dzienniki i pisma włoskie — chcieliśmy raczej rzucić wzrokiem na smutny obecny stan literatury we Włoszech, tej ojczyźnie Tassa i Dantego, których popioły w grobach poruszać się muszą na odgłos nie jednego z teraźniejszych utworów tutejszych. Nie mamy potrzeby mówić, że osiadała w tej chwili wszystko się obraca, jest wciąż jeszcze władza doczesna papieżka i stosunek kościoła do rządu. Wśród nawałnicy broszur i pamfletów wszelkiego rodzaju, dotyczących tej kwestji, natrafialiśmy jednak na rzeczy rzeczywiście poważne, chłodno, ze znajomością historii, z krytycznymi poglądami traktowane — ale między temi są i rzeczy arcy-potworne. Rzućmy okiem na parę tych i owych nowości, które zbyt świeże, aby do Was już dolecieć mogły.

Najlepszą, najbezzstronnejszą pracą na tem polityczno-religijnem polu, jest tylko co wydana broszura p. Ercole Ovidi: *Lo Stato e la Chiesa* (Stany i kościół). Autor z erudycją i znajomością polityczną, kreśli w niej swe poglądy na stosunek Włoch jako państwa do papieżstwa i kościoła, i nie powiemy żeby zbyt odbiegł od programatu jaki w tych dniach w izbie parlamentu włoskiego, co do tych stosunków zakreślony już został. Za to prawdziwie potworną nazwalibyśmy świeżo wydaną w Neapolu pracę w tymże rodzaju hr. Giuseppe Ricciardi, ogromny tom 320 stronnie druku obejmujący. Autor człowiek możny i przez stosunki do arystokratycznej warstwy włoskiego społeczeństwa należący, w chwili trwania Soboru w Rzymie w 1869 r., zwołał do Neapolu — i ni mniej ni więcej tylko zebrał *anti-sobór in partibus*, na którym negowano i tłumaczono po swojemu postanowienie rzeczywistego Soboru rzymskiego. Tym pozakulisowym robotem, członkowie neapolitańskiego stowarzyszenia, liczącego w swym gronie kilkudziesięciu cudzoziemców i wiele kobiet, nadawali formę dyplomatycznych niejako aktów i protestów. Rozpadł się Sobór w Rzymie, poszło w rozsypek i towarzystwo neapolitańskie, aż oto hr. Ricciardi, wystąpił teraz z ogłoszeniem kilkudziesięciu tych dziwacznych aktów i postanowień sekciarskich i darzy niemi publiczność, któraby się bez *Aktów* p. Ricciardi zgła obejść potrafiła.

Ogromny rozgłos i zasłużone uznanie otrzymała od publiczności włoskiej, świeżo wydana w Medjolanie praca, na innem już polu p. Mauro Macchi, deputowanego w parlamencie włoskim, osobistości bardzo w kraju poważanej. Książka p. Macchi nosi tytuł: *I dottrinarî d'Alemagna*. Autor za zadanie swe położył zbijanie sofizmatów kilku doktrynarjuszów niemieckich, znakomitych nawet publicystów,

którzy zamiast przemawiać w imię pokoju i swobody państw — przeciwnie pod zasłoną swych imion popularnych, pracowali i pracują nad rozżarzaniem namiętności ludów germańskich przeciw Francji. Temi doktrynarjuszami są: Mommsen, Strauss i Albert Weber. Przeciw ostatniemu zwłaszcza wymierzone są uczone argumentacje autora. Pan Macchi podnosi głos w imieniu pobratymstwa ludów, staje w obronie zasad demokratycznych, dowodząc że Francja zawsze te zasady podtrzymywać usiłowała po upadku więc Napoleona III, należało zakończyć krwawą walkę, która przeciwnie od tego czasu przybrała wszelkie fazy wojen średniowiecznych. Autor podzielił znakomitą swą pracę na cztery główne działy, następnej treści: 1. Garibaldi we Francji. 2. Zaburcze zamiary. 3. Kwestja Nicei. 4. Okrucieństwa. W dodatkach umieszczone są główniejsze dokumenta przeświadczające o nadużyciach wojsk niemieckich na ziemi francuzkiej popełnianych.

Różna zupełnie od poprzednich treści, ale ciekawa, zwłaszcza nowością pomysłu, uderzająca jest książka p. Fryderyka Kernot, przed niewielu dniami wydana w Neapolu: *Historja farmacji i farmaceutów*. Dotąd nikomu nie postąpiło w myśli, zebrać historję i życiorysy wszystkich najznakomitszych farmaceutów całego świata, od najdawniejszych do najnowszych. Zapelniał tę próżnię p. Kernot, którego dzieło zarówno dla specjalistów zajmujących się przyrządzaniem medykamentów, jak i dla bibliografii niemały przedstawia interes.

Nowością także jest książka o Sybillach, wydana w języku łacińskim przez p. Artura Wołyńskiego, zamieszkałego od lat kilku we Włoszech. Tytuł jej: *De Sibyllis seu Ethnicorum pro Christiana Religione Testimorium — auctore Arturo Wołyński S. Theologiae Doctore. Parisiis 1870 in 12*. Już sam spis pisarzy starożytnych i współczesnych, dodany przy końcu tomu, z których autor czerpał materiały, jest najlepszym dowodem pracowitości dzieła. P. Wołyński wyczerpnął zdaje się wszystko cokolwiek i gdziekolwiek o Sybillach pisano — oddając więc słuszny hołd erudycji, nie możemy wszakże samego przedmiotu nazwać ani zbyt wdzięcznym, ani zbyt zajmującym.

Dla czego nareszcie publikacja ta napisana w języku łacińskim, tak mało komu dziś dostępnym? Autor, człowiek młody, kończył nauki w Rzymie, sposobiąc się na duchownego, nie został nim jednakże. Władając zarówno dobrze językiem włoskim, jak własnym i łacińskim, pracuje on na pożyteczniejszym polu. W dziennikach i czasopismach włoskich spotkaliśmy się z licznymi jego artykułami.

o literaturze polskiej współczesnej, o której Włosi dotąd mało lub zgoła żadnego nie mieli pojęcia. Tę pracę z serca przyklaskujemy — z żywym też zajęciem czytaliśmy niektóre utwory Lenartowicza, wybornie przez niego przełożone po włosku, a które we Włoszech jak wiemy, niemałe zajęcie obudziły.

A *propos* Lenartowicza, o którego nowych pracach literackich i rzeźbiarskich, obszernie sprawozdanie przesłał nam Tygodnik Ilustrowany, wspomniemy tu jeszcze o jednej robocie jego, tylko co wykończonęj, nad którą zachwycaliśmy się oglądając ją temi dniami. Jest to przepyszny kałamarz srebrny z ozdobami i figurami w stylu odrodzenia, który Lenartowicz wykonał dla margrabiego de La-gottellerie. Cacko to artystyczne niby, dłuta i rodzaju Benvenuto, najznakomitszemu artyście z powołania, zaszczytby przyniosło. Podobnych drobnych pamiątek naszego poety rzeźbiarza, dużo już po domach arystokracji tutejszej napotkać można — w kraju ich tylko nie ma — pisma ilustrowane powinnyby je przynajmniej odbić w rysunkach rozpowszechnić.

## KORRESPONDENCJA

z

### WIEDNIA.

1871 r.

Karnawał — Strzelanie na lodzie jako uzupełnienie ślizgawki — Grillparzer i obchód jego urodzin — Judith, nowa opera Mosenthala z muzyką Dopplera — Wystawa obrazów: Mackart, Calame, Camphausen, Kurzbauer, W. Elias z Krakowa — Nowe książki — Żydzi wiedeńscy zrzekają się powrotu do Jerozolimy — Smutne losy pewnego dziecka fortuny — Właściciel dziewięciu kamieni sprawia swoją śmiercią miłą niespodziankę czynszownikom.

W Wiedniu wesoło, jakby wiek złoty panował na ziemi. Bale, maskarady, wieczory dla wszystkich warstw i stanów są ciągle na porządku dziennym. Straszny rozlew krwi na teatrze wojny, okropne nieszczęścia jakimi tu krocie rodzin dotknięte, nikomu bawić się nie przeszkadzają. Choć mamy podostatkiem ogromnych sal w których monstualne bale wybornie się udają, urządono w tym roku kilka redut pod gołym niebem, w miejscu wyznaczonem na publiczną ślizgawkę. Bale na łyżwach, ograniczające się atoli na pochodach bohaterów redutowych przy oświetleniu bengalskiem, mogłyby mieć wiele uroku i powodzenia gdyby nie to, że dokuczliwe zimno nie pozwala zatrzymywać się długo w zaimprovizowanej sali na lodowej posadzce. W dawnych wiekach ulubioną zabawą w Wiedniu było strzelanie na lodzie. Zabawy takie, urządzone zwykle staraniem flisaków i rybaków, stały się nawet historycznymi, ponieważ na jednej z nich w r. 1192, na której był także obecny książę Leopold austriacki, poznano wracającego do Anglii w ubiorze pielgrzymów króla Ryszarda Lwie serce i uwięziono. Dawnymi czasy każdej zimy odbywało się strzelanie do tarczy na lodzie. Książęta i księżniczki brali udział w tej zabawie i ugaszczali dobrych strzelców pieczenią i piwem. Przed kilkunastu laty kosztem kilku gentlemanów wiedeńskich, urządono w ogrodzie Schwarzenberga drogę lodową, na której atoli sama tylko arystokracja strzelała o zakład. Dla tych którzy w jednostajnym ślizganiu się nie znajdują przyjemności a potrzebują ruchu na wolnym powietrzu, strzelanie na lodzie byłoby wyborańską rozrywką, gdy więc w tym roku zaczęto w Wiedniu urządzać miejsce na ślizgawkę, podniosły się głosy za zaprowadzeniem strzelania, skończyło się jednak na projekcie i zamiast

pięknych ćwiczeń rycerskich urządono maskarady, albo nowe pole popisu dla skoczków i arlekinów.

Ślizgawki same, zwłaszcza w godzinach południowych, bardzo się zaludniają młodzieżą obojgę płci, a nawet dziećmi i ożywiony przedstawiają widok. Mnóstwo też ciekawych gromadzi się wokoło, z wyjątkiem ślizgawki w ogrodzie Schwarzenberga, gdzie ma wstęp tylko arystokracja karetowa. Młode Wiedeńki w czarnych krótkich sukniach sukiennych lub aksamitnych, w takichże kaftanikach do figury, futrem obłożonych i okrągłych kapelusikach z piórami na głowach, ubranych w loki lub z rozpuszczonemi z tyłu włosami, chociaż zazwyczaj nie grzeszą pięknoscią, bardzo miłe sprawiają wrażenie gdy solo lub trzymając się za ręce z zuchami tego samego wieku, wykonywają na lodzie zgrabne piruety.

Wspominałem już w poprzednim liście o Grillparzerze i zawiązaniu się komitetu dla uczczenia ośmdziesięcioletniej rocznicy jego urodzin. Jest to poeta austriacki, dramaturg, mało znany nawet w Niemczech, tam właśnie dla tego że jest austriakiem, bo u Niemców Austrija pod względem naukowym i literackim ma najgorszą opinię, tak jak Beocja w starożytnęj Grecji. Od pierwszej młodości oddawał się piśmiennictwu i napisał wiele dramatów niepospolitęj wartości.

Syn adwokata, urodzony 15 stycznia 1791, skończywszy prawo, wstąpił do urzędu i był dyrektorem archiwum nadwornego. Wyśłużwszy lat 43 na tej posadzce, wystąpił z tytułem radcy dworu. Później został członkiem izby panów, od wielu zaś lat jest członkiem akademii umiejętności i posiada order Leopolda. Starzec ośmdziesięcioletni, zdumiewający skromnością, chociaż posiada talent pierwszorzędnny, odebrał tego roku w dniu swoich urodzin nieskończone mnóstwo dowodów uwielbienia i czci. Cesarz nadał mu wielki krzyż orderu Franciszka Józefa i wyznaczył z prywatnej szkatuły pensją w kwocie 3000 guld. rocznie, a uniwersytety w Gram i Insbruku uczciły go honorowemi dyplomami ua doktora filozofji, arcyksiężna Zofia matka cesarza przysłała mu drzewo wawrzynowe jako symbol nieśmiertelnej sławy, arcyksiężę Rudolf następcę tronu własnoręcznym listem wyraził mu swoje życzenia, oświadczając przytem, że będąc jeszcze dzieckiem dzieła jego później dopiero czytać będzie. Król pruski przysłał order pour le mérite, królowa pruska list z życzeniami. Od rana deputacja za deputacją cisnęły się do skromnego mieszkania starca. Były pomiędzy nimi deputacje arcyksiążąt, akademii umiejętności, rady gminnej, teatrów wiedeńskich, akademii sztuk pięknych, stowarzyszeń śpiewu, wydziału krajowego i t. d., nareszcie deputacja komitetu urządzającego, to jest pań wiedeńskich. Panie oprócz stosownego do okoliczności adresu, przypisały album zawierające 6000 kartek z podpisami osób, które ubiegały się o okazanie pocie swojej czci tym sposobem, i pismo zawiadamiające go, że z powodu obchodu jego urodzin zebrano 20,000 guld. i postanowiono utworzyć z połowy tej sumy stypendjum dla dramaturgów, zostawiając pocie orzeczenie co do użycia drugiej połowy na jaki inny cel dobroczynny. Łatwo sobie wyobrazić jaką radość sprawiły Grillparzerowi wszystkie te niespodzianki. Zabawnem jest jednak, że gdy pierwsza deputacja zastała go jeszcze w negliżu, a drugie tak szybko po sobie następowały iż nie miał czasu się ubrać, więc owe piękne panie, przedstawiające się mu w balowój toalecie, musiał przyjąć w szlafroku i pantoflach. Nie tylko się tem nie obrażono, ale owszem miło było córkom wschodnięj Germanii, ujrzeć swego narodowego poetę w narodowym stroju.

(d. c. n.)

## Podróż po Danji.

(Dalszy ciąg).

O godzinie 8 z rana ujrzelismy przed sobą Kopenhagę. Widok miasta od strony morza nie ma w sobie nic uderzającego ani wspaniałego. Jest zbudowane w części na przeciwległej wyspie Amak czyli Amager. Amak przedstawia wszystko to, czego pod względem dobrych obyczajów, porządku i zamożności żądać można od wieśniaka mieszkającego w pobliżu wielkiego miasta. Domy, bydło, konie, pola i łąki, czystość w głębi wiosek, sposób budowania większych folwarków, wszystko to tak przypomina Holandję, że nie zadziwiłem się wcale ujrzawszy mieszkańców w ubiorach holenderskich. Trudnią się głównie ogrodnictwem, i dla tego Amak nosi nazwisko ogrodu warzywnego Kopenhagi. Nigdzie nie ujrzyż ani kawałka lasu, ale też nie ma nigdzie ani piędzi ziemi odłogiem leżącej. W pobliżu stolicy jest mnóstwo bardzo ozdobnych willi.

Kopenhaga została zbudowana w 11 stuleciu. Osiało tu najpierw kilku kupców i ztąd nazwa miasta Kiöbenbaron (port kupiecki). Dla bezpieczeństwa od rozbójników morskich potrzebny im był jakiś mocny zamek, wznosił go Arcybiskup Absalon Roeskilde, otrzymawszy na to od Waldemara I miejsce i wsie przyległe. Zamek ten stał na wyspie gdzie teraz jest Christiansburg. Kopenhaga zaś wkrótce zakwitła. Już w 1254 roku otrzymała prawo miejskie, ale królowie odebrali zaraz biskupom to, co im dali niedawno. W r. 1443 Kopenhaga stała się rezydencją królewską i jest nią dotąd. W r. 1479 założony tu został uniwersytet, który obecnie miewa po 600 uczniów. Król Chrystjan IV był największym Kopenhagi dobroczyńcą. Podniósł ją, ufortyfikował, ożywił jej handel, wystawił i poprawił wiele budowli a następcem swoim zostawił gniazdo warowne, zdolne do przetrwania burz których też później w istocie nie uniknęło. Kopenhaga ma przeszło milę obwodu i jest naokoło otoczona fortyfikacjami.

Wjazd do portu zasłaniają dwie baterje wprost z morza wychylające się i cytadela Friedrichshafen. Z dumą pogląda Duńczyk na te baterje i słusznie: tu bowiem stoczona została walka bohaterska, która Danję sławą okryła. Duńczycy nie mogą zapomnieć swego dawnego panowania na morzu, owych czasów, gdy biały krzyż w polu czerwonym błyszczał na ich banderach. W porcie stoi sześć potężnych okrętów liniowych, niestety tylko cień dawnęj świetności: skazane na powolne niszczenie w nieczynności, są tylko nieżytecznym a kosztownym dla państwa ciężarem. A jednak chętką budowania okrętów wojennych wrodzona jest temu ludowi. Duńczycy byli niegdyś najsmielszymi i najrzęczniejszymi żeglarzami na morzu i dziś jeszcze rośnie im serce na myśl o bitwie morskiej. Śmiałością i zręcznością odznaczają się szczególnie żeglarze z Helsingör utrzymujący komunikację z Helsingborgiem leżącym po tamtej stronie Sundu. Najgwałtowniejsza burza ich nie zatrwoży, przyznać jednak trzeba, że każą sobie dobrze płacić. Stoi w porcie po dziś dzień wysoki słup, na którym jest zwyczaj zawieszania według siły wiatru jednęj, dwóch, albo trzech kul — wskazujących wysokość opłaty za przewóz, a widok trzech kul pożądanym był niezmiernie dla przewoźników gdyż to oznaczało najwyższą cyfrę. Gdy zaś na znak burzy biała wywieszono chorągiew, wolno im było wtenczas żądać wiele im się podobało. Nie było jednak przykładu, aby sama burza wstrzymała ich kiedykolwiek od utrzymywania stałej komunikacji. Opowiadają o pewnym śmiałku Jens Lind, który miał się wstawić w świecie żeglarskim. Podczas wojny użył list korsarski i dorobił się bardzo znacznego majątku; zbudował sobie piękny dom, dawał uczyć, pełnemi garściami rozrzuczał pieniądze, aż znowu stał się biednym jak dawniej. Miał małą łódkę, w której z biedą dwóch ludzi pomieścić się mogło. Na tej łódce był kilka razy w Petersburgu. Raz powstała straszliwa burza, mały jacht stał na kotwicy niedaleko brzegu, i będąc w największem niebezpieczeństwie strzał za strzałem posłał, wzywając pomocy. Przewoźnicy usiłowali zepchnąć łódź z brzegu, ale nadaremnie, burza bowiem ciągle ją na brzeg wyrzucała, wreszcie dziesięciu ludzi z Lindem na czele, wzięło łódź na barki i ponieśli ją w morze ze zdumiewającą dwagą. Posuwali się coraz dalej i dalej



ponadawali tym ulicom rozmaite nazwiska: Przesmyk nadziei, ulica Delfina, Słoniowa, Wielbłądowa, Krokodylowa, Tygrysia, Niedźwiedzia, Różana, Gwoździkowa i t. d.

I znów idziemy na północ i oglądamy na ostatcznym końcu miasta położoną cytadelę Friedrichshafen z czarującymi przechadzkami na wałach, tak zwaną „długą linią,” drogę u stóp fortecy ponad brzegiem morza. Przepyszny jest widok pięciu różnych bastjonów cytadeli. Tam ku północo-wschodowi widać wybrzeża Zeelandji z zielonemi gaikami, kwiecistemi błoniami i białemi domkami. Tu odstania się cały Sund, na horyzoncie widać wybrzeża szwedzkie w oddaleniu wyspę Hoen, gdzie mieszkał sławny astronom Tycho Brahe w zamku Uranienburg (teraz wyspa należy do Szwecji a w miejscu gdzie mieszkał Tycho Brahe stoi mały kościółek). Dalej baterja trzech koron pionowo wyrosła z morza, po drugiej stronie widać port, zwany Zollbude, z okrętami na kotwicy i lasem masztów, tu można postrzedz niejedną piękną okręt liniowy lub fregatę, która właśnie powróciła od brzegów Peru i ujść La Platy, a na błękitnej cieśninie Sundu dumny okręt trzymasztowy z błyszczącymi białymi żaglami lub smukły kutter płynący jak łabędź!

Teraz idziemy ulicą Królewską, która zaiste godną jest tego imienia. Ach cóż to za wspaniała ruina! Tak — niestety ruina, budowla nie skończona. W r. 1749 rozpoczęto budowę wielkiego kościoła, który miał być cały z marmuru i nosić imię świątyni Fryderyka. Setki tysięcy na to wydano, nim postrzeżono że marmur jest zły, że się kruszy: nadto zabrakło pieniędzy i przerwano budowę. Widok tej pięknej ruiny, dziwnie odbija w pośrodku porządnego, dobrze utrzymanego, pełnego życia miasta!

Na wschód kościoła Fryderyka, pomiędzy cytadelą a nowym portem, stoi samotny cichy plac Fryderyka, utworzony przez cztery starożytne pałace, a w środku którego stoi posąg na koniu Fryderyka V. Całość nazywa się Amalienburg. Tu mieszka król i królowa, tudzież kilku książąt.

Przechodzimy na południową połowę miasta, i z Kongens Nytorv zwracamy się w kierunku południowo-wschodnim do Oestergade, ulicy najwięcej ożywionej w Kopenhadze. Tutaj często z trudnością trzeba się przedzierać przez tłumy ludzi i jest się ciągle narażonym na karambule. Duńcy są bardzo żywi: pędzą bardzo szybko, a rękami, nogami machają na wszystkie strony. Oto stoi dwóch i rozmawiają ze sobą. Przedmiot musi być niezmiernie interesowny. Oóż oni nie wyrabiają z rękami i nogami! W tem ktoś pchnął jednego na drugiego; przepraszają się po tysiąc razy ale nie przerywają rozmowy. Jakaż ruchliwość w ich roztropanych ryśach! Ale o czemże rozmawiają? Oto o tem o czemby kto inny może nawet nie pomyślał. Ale Duńczyk chwycił najdrobniejszy przedmiot z trudną do pojęcia żywością; zapala się prędko i wszystko w jaskrawym widzi świetle: jego ruchliwość umysłowa we wszystkich znajduje obfity przedmiot do rozmowy.

Na Oestergade wszystkie domy mają sutereny, a w nich rozmaici mieszkają rękodzielnicy, najwięcej przekupnie żywności, która porozstawiana pięknie, wabi przechodnia jako to kiełbasa, szynka i słonina z przekrojami bardzo pociągającymi, zwróconemi ku ulicy, chleb i flaszki, a wreszcie wysokie piramidy talerzy do kwaśnego mleka lub czerwonej lemięszki. Ulubiona ta potrawa Duńczyków, robi się z mąki ryżowej, ugotowanej w soku porzeczkowym, a jada się ze słodkim mlekiem. Szyldy na okiennicach i drzwiach wymownie objaśniają, kto tam mieszka: jako to: młyn i wóz z pełnemi worami mąki, bożek wina Bachus, który siedzi na beczce i pije, stos pobitego drobiu, ćwierć napelniona grochem i t. d.

Wszystkie domy tak na tej ulicy jak i innych są wysokie i mają po 5 do 6 pięter. Dla tego na stosunkowo małym miejscu mieści się bardzo znaczna liczba mieszkańców.

Na końcu Oestergade pędzi naprzeciw nas poczta pośpieszna, zaprzężona w cztery ogromne konie, woźnica siedzi na koziołku i zajeżdża na dziedziniec domu pocztowego. Każdy cudzoziemiec zdziwi się, jakimi tu pięknymi koniami jeździ poczta po całej Zeelandji. W pięknie polakierowanym powozie bardzo

wygodnie siedzi 12 osób; pocztyljon w czerwonej kurtce, żółtych skórzanych spodniach i wielkich butach; uprząż na koniach jest tak piękną, że i pan taki by się nie powstydział. Oprócz poczty pośpiesznych są tu jeszcze tak zwane Dagvogne, wozy dzienne, są to powozy odkryte na resorach, z 4 i 5 siedzeniami, również bardzo wygodne, sprzężone dobremi końmi. Nadto drogi są wszędzie wyborne, to też podróżować pocztą po Zeelandji to rozkosz prawdziwa.

(d. c. n.)

## Ekonomia domowa.

(Dalszy ciąg.)

Inne narody, przybrały odmienne zasady. Młode panny w Anglii lub w Stanach Zjednoczonych szczerą się wolnością pełną i nieograniczoną, niezależnością bez kontroli i bez karbów. Zawczasu nawykły same sobą rządzić, na własne rachować siły, kierować swoją nauką według postanowień swojej woli, od pierwszej młodości wyswobodzone z pod wszelkiej opieki, wybierają sobie przyjaciółki, towarzystwa gdzie chcą bywać, i bez rodziców uczęszczają same na koncerty, bale, teatru i zgromadzenia. Najważniejszym następstwem takiej emancypacji, jest dowolne rozporządzanie swoją osobą, i prawo bezwzględnego wyboru towarzysza przyszłego życia, jedynie za natchnieniem swojego serca lub rozumu.

Charakter narodowy, zwyczaje, prawa, instytucje społeczne, obyczaje młodzieży, zmniejszają lub przeciwważają zdradliwą stronę, tak bezwarunkowej swobody młodych dziewcząt.

Ale dla naszych nie godzi się zazdrościć jej i pragnąć, gdy nie bez ważnych przyczyn towarzyskie nasze obyczaje, zgodne z tradycją i narodowym charakterem, ustanowiły w rozsądnym wychowaniu szeroką swobodę, bez uchylecia baczności macierzyńskiej powagi.

Kiedy nam się widzieli zdarzy kobietę bezczynną, zalotną, płochą, jak z próżniactwa obiega sklepy i magazyny, zabiera pracowitym ludziom drogie chwile, których dla samej siebie nie ceni, goni za sposobami odpędzenia nudów, wymyśla stroje excentryczne, ażeby czas tylko zabić, w towarzystwie pozwała sobie zachowania się najdziwniejszego, wszystkich głośno przegada, lub kwili głosem omleającym jakby jej temu brakło, ma na zawołanie migrenę, by się wymówić od obowiązków towarzyskich, tam gdzie jej się zdaje niezabawnym, piastuje pieska, najmilszą sercu jej istotę, choć najnieznajniejszą dla obecnych, to nie wyobrażajmy sobie, że to jest typ kobiety światowej.

Do tytułu tego wcale inne przywiązane są zalety. Rzeczywista światowa kobieta umie wszędzie zastosować się do przyjętych zwyczajów, do wymagań, a nie wygląda to, jak gdyby chciała dawać nauki tym co ich nie znają.

Ścisłe dopełniając swoich powinności, przewodnicząc wychowaniu swych dzieci, znajduje czas i na religijne obowiązki, i na uczynki miłosierne i na utrzymanie stosunków przyjacielskich i światowych, — bo w życie swoje wprowadziła zasady porządku, systematyczności i przezorności, które przewodniczyć winny wszelkim rządóm.

Zatrudnienia gospodarskie, roboty kobiece i talenta naprzemian ją zajmują: ta sama ręka zarówno wprawnie bierze się z kolei do pióra, do pędzla i do igły.

Nie wyjedzie do wód dla mody albo z nudów, których nie zna, a gdy zdrowie tego wymaga, nie pozostaje dłużej nad konieczność, ażeby się nie rozłączać z mężem i dziećmi. Rodzina dla niej drugim obowiązkiem, świat tylko rozrywką: rodzinie oddaje się cała, światu tylko się udziela.

Zachowanie się jej w towarzystwach nie hałaśliwe, spokojne i poważne, strój równie przyzwoity jak osoba. Czas ma tak rozrządzony, że wszędzie przybywa w porę i w korespondencjach nie zalega. Nie zaniedbuje miłych znajomości, mimo przyjętych ob-

owiązków doglądanie zakładów dobroczynnych, nigdy dla niej nie jest ciężarem.

Podobne kobiety można często napotkać w życiu. Tej więc, która jest towarzyszką i współniczką pracy i przyjemności męża, staranną matką i ochmi-strzynią swoich dzieci, a jednocześnie ozdobą towarzystw przez swój rozum, talenta i miłe przymioty, dobrą, litościwą i miłosierną przy łóżu chorego i w izdebce nędzarzy, — takiej światowej kobiecie należy się cześć i poszanowanie.

Gor.....

## Rozwój oświaty w Cesarstwie.

— Kazańska gazeta giełdowa donosi, że ziemstwo powiatu Łaiszewskiego, uznało za potrzebne założenie przy szkołkach wiejskich klass rzemieślniczych i podwyższenie płacy nauczycielom z rubli 60 na 120 rocznie. Sposobem próby mają być urządzone oddziały rzemieślnicze w kilku tylko szkołkach, a gdy okażą się praktyczne zaprowadzone zostaną i w innych. Wielka szkoda że gazeta nie podaje zasady na jakich reforma ta zostanie zaprowadzoną.

— Połtawskie ziemstwo gubernjalne na zebraniu w tych dniach odbytem, w kwestji wychowania publicznego postanowiło: 1) urządzić w mieście Połtawie seminarjum pedagogiczne z nadaniem mu nazwy: „Szkoły Ziemstwa początkowych nauczycieli narodowych” W szkole będzie 90 stypendystów ziemstwa, po 6 z każdego powiatu. Szkoła składać się będzie z 3 klas z kursem jednorocznym w każdej klasie. Przy szkole będzie szkołka początkowa narodowa dla dzieci przychodnich; w szkółce tej, uczniowie seminarium kształcić się będą w nauczycielstwie praktycznie. Na utrzymanie tegoż seminarjum będzie ze szkołą początkową, ziemstwo wnosić będzie corocznie, poczynając od roku 1871, do budżetu wydatków gubernji rubli 16,000.

2) Urządzić w Łubnach gimnazjum z podniesieniem kosztów utrzymania wedle etatów gimnazjalnych z roku 1864 t. j. po rubli 22,290 rocznie.

3) Wnosić corocznie do budżetu gubernialnego tytułem zasiłku: rs. 2900 na gimnazjum żeńskie maryjskie w Połtawie, i rs. 2800 na szkoły żeńskie w miastach.

4) Urządzać w porze letniej zjazdy nauczycieli w celach pedagogicznych.

Zażądać od zgromadzeń powiatowych opinii co do kwestji wychowania przymusowego, mającej być rozstrzygniętą na przyszłym posiedzeniu ziemstwa.

— Prezydent miasta Odessy wygotowuje projekt przedstawienia o urzędzeniu przy uniwersytecie Noworossyjskim fakultetu lekarskiego, przy czem miasto assygnowałoby w tym celu rocznego zasiłku 50,000 rs. licząc już i koszt utrzymania dwóch szpitali na 400 łózek.

— W Samarze reprezentacja gubernialna postanowiła założyć szkołę dla kształcenia nauczycieli elementarnych, a jednocześnie przychyliła się do oddania pierwszeństwa w tym zawodzie kobietom. Jako argumenta popierające to założenie reprezentacja przytacza: że w Stanach Zjednoczonych całkiem nie ma wychowanie elementarne spoczywa w ręku kobiet; że w samej gubernji Samarskiej postępy młodzieży w szkołach kierowanych przez kobiety są większe, aniżeli w szkołach zostających pod kierunkiem nauczycieli płci męskiej; że małe poszukiwanie i taniść pracy kobiecej musi skłaniać kobiety do większej troskliwości około przyjętego obowiązku w szkole elementarnej, aniżeli męczyzną kształconego, przed którym świat stoi otworem; nakoniec, że wychowanie kobiet nietylko jako nauczycielek, ale też jako matek rodziny bardziej odpowiada stopniowemu osiągnięciu moralnych celów kształcenia ludu. W tej myśli postanowiono prosić rząd o zatwierdzenie ustawy szkoły nauczycielek elementarnych.

**Listy i przesyłki pieniężne** adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabrzeż Nr. 956 (nowy N. 6) dom narożny.

## PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

— Próżne więc wasze marzenia o rozszerzeniu albo zniesieniu tej granicy która dwa światy rozdziela. Stoicie pomiędzy bogatymi, a więc wybierajcie sobie bogatych mężów, a jeśli żadnego z nich nie pokochacie, lub żaden z bogatych was niepokocha, zostaniecie staremi pannami. Każda jednak z was, która posiada posag, niech się nie tworzy zbyt wiele. Kochana lub nie, kochająca lub nie, będzie zawsze miała konkurentów tuzinami i wyjdzie za męża. Co potem nastąpi? albo ja wiem? Może bohaterskiego kochanka westchnienia przykują jej serce do ziemi; może umrze z suchot — bądź co bądź wyjdzie za męża i będzie stroiła się, podróżowała i będzie świetniała i błyszczała w świecie, a stare panieństwo, wieczna samotność serca, gorycz dla ludzi i świata, zostaną udziałem tych istot, których los postawił pomiędzy bogatymi a odebrał im bogactwo; które nie są ani tem, ani owem, które nie należą do jednych z urodzenia a do drugich z kieszeni, po które, ubogi nie śmie a bogaty nie chce sięgnąć, które wreszcie na gruzach swoich marzeń i pragnień staną jak pomniki przespawiedliwego i przemądrego porządku tego świata.

Wdziwione z ciężkim poczuciem w sercach i na twarzach, patrzyłyśmy na Rozalję gdy to mówiła. Pierwszy raz widziałam ją wychodzącą, ze zwykłej sobie cichej i pokornej roli. Kotka o aksamitnych łapkach zmieniła się w moich oczach w hardą i szyderską. Słodkie jej usta tryskały goryczą, pokorne czoło podniosło się wyzywająco, nozdrza rozduły się a oczy odsłoniły z powiek i rzęs długich ciskały ogniem.

Zaledwie skończyła, otworzyły się drzwi od salonu i lokaj oznajmił nam wieczere.

Przy stole siedziałam pomiędzy p. Agenorem i p. Henrykiem. Naprzeciw mnie usiadła Rozalja zmieniła znowu w mgnieniu oka, marmurowo spokojna, cicha, słodka i pokorna. Sąsiedzi moi bawili mnie na wysięgi, ale nie mogli z czoła mego spędzić chmury zamyślenia.

Przed oczami memi jak zaklęty stał obraz babki Ludgardy z pooranem czołem, wzrokiem utkwionym w ptaszki trzepoczące się po klatce, na ustach ze słowami: „postarzałam, życie przeżyłam sama jedna, nikt mnie nigdy nie kochał“.

XXXIII.

Przez parę tygodni niby koniki polne przelatywali po drogach konni posłańcy z Rodowa, rozwożąc po sąsiednich dworach bilety, w których p. Hortensja X. X. zapraszała krewnych, przyjaciół, znajomych do domu swego na zabawę mającą mieć miejsce w ostatnich dniach sierpnia.

Niby prąd elektryczny, po okolicy w mgnieniu

oka rozeszła się wieść, że dumna mimo światowej uprzejmości, światowa mimo podeszłego wieku pani na Rodowie, wydaje świetny bal dla uciechy wnuczki swjej Wacławy i publicznego zmanifestowania swoich życzliwych dla niej uczuć, które oczom sąsiadów przedstawiały się w dość imponującej cyfrze testamentowego zapisu, albo i za życia jeszcze przy ślubnym akcie tejże wnuczki wyliczonej summie.

Emilka przy pierwszym zobaczeniu się ze mną opowiadała mi: że mówiono wiele o tem w domu jej matki, w obec zebranych tam kilkunastu osób, i że nikt już nie wątpił, iż pomimo wątpliwie pomyślnego stanu majątku mojej matki, będę posiadała miljonowy prawie posag. Opowiedziała mi także Emilka, że przy rozmowie tej obecnym był p. Agenor, ale zdawał się wcale nie zważać na nią i przez cały czas przecierał tylko w mileżeniu szkielek lornetki, co było u niego oznaką głębokiego zamyślenia.

I wtedy dopiero gdy wyczerpano już cały zasób domniemań o przyszłym moim posagu, podniósł głowę i oświadczył, iż według niego mogłabym wcale obejść się bez zapisów i bogatych darów mej Babki, bo posiadam największy posag jaki pociągnąć może młodego człowieka; to jest: wdzięki, dobroć, dowcip, staranne wychowanie i t. d. Na które to odezwanie się zebrane towarzystwo szeptać pomiędzy sobą zaczęło, iż p. Agenor jest człowiekiem brzydzącym się wszelką interesownością i stara się o mnie dla tego tylko, że się we mnie szczerze i szalenie zakochał. Emilka zupełnie podzielała to zdanie, bo jak mówiła, gdyby była młodym mężczyzną pokochałaby się także we mnie na zabój, i aniby myślała o tem czy posiadam cokolwiek lub jestem zupełnie ubogą. Ach! i ja także podzielałam całym sercem zdanie towarzystwa zachwycającego się bezinteresownością p. Agenora, i ja byłam pewna że pokochał mnie prawdziwie, całą duszą, z zapalem i poezją cechującą uczucia wszystkich bohaterów, o jakich kiedy czytałam. Serce moje przepełniało się nieznaną mi dotąd rozkoszą na samą myśl, że jestem tak bardzo, bardzo przez kogoś kochaną, a głowę moją napełniały różowe dymy zadowolnionej miłości własnej i odniesionego tryumfu że ten ktoś, który mnie kochał był tak pięknym, świetnym, wielkim, że piękniejszego nadeń, świetniejszego i wyższego nie wymarzyła nawet wyobraźnia żadnego z romansopisarzy, którzy przecie bohaterów swoich malowali pędzlem bogatej fantazji, i urabiali im kształty dżutem natęchnionego dla sztuki serca.

Gdy tak myślałam, czułam wyraźnie, że wrażenie jakie wywierał na mnie p. Agenor przechodziło mi powoli z głowy do serca. Zdawało mi się, że w piersi mej poczynała rozsiewać się delikatna jakaś tkanka strun złotych, wydających z siebie dźwięki tęskne i radosne naprzemian. W coraz dłuższe popadałam zadumy. Głowę osłabła marzeń natłokiem składałam na poduszce sofy, twarz kryłam w dłonie i zdawało mi się, że słyszę eteryczne ciche dźwięki harfy, wychodzące z najgłębszego dna mego własnego serca, i ulatujące pod same niebo, wysoko, pieśnią nadziei i dziękczynienia.....

I cóż dziwnego że takimi wrażeniami przejęta, pragnęłam całą duszą być tak piękną jak nikt nigdy nie był na świecie, wydać się p. Agenorowi tak uroczą, jak żadna z kobiet, które dotąd spotykał na ziemi.

W zwierciadle mego gabinetu nie widziałam już młodziuchnej, naiwnej eks-pensjonarki, której całą ozdoba był uśmiech porannej niewinności i spojrze-

nie przezroczyście w jakim nie odbiła się jeszcze ni razu żadna chmurka i żaden błędny ognik życia. Teraz w zwierciadle tym, sławała często przedemną młoda panna, rozmarzona, zadumana, trwożna i zachwycona zarazem. Układała włosy swe w fantastyczne zwoje i patrzyła w przestrzeń oczami, na których tle szafirowem rozdziły się i konały rojami iskry złotawe i mglili się wilgotny połysk wzruszenia....

I cóż dziwnego że drżałam od trwogi i nadziei, na myśl o bliższej zabawie na której po raz pierwszy ukazać się miałam tyłu oczom odrazu, na której przedewszystkiem miał mnie w nowej postaci ujrzeć pan Agenor?

Na kilka już dni przed dniem naznaczonym na wyjazd do Rodowa, w gabinecie moim Zosia rozłożyła po sofach, trzy suknie przezroczyście jak tkanina pajęcza, zdobne w coraz inne kwiaty i wieńce a ja z matką moją oglądałyśmy je po kilka razy na dzień, nie mogąc się zdecydować na wybranie z nich jednej.

Przed kilku miesiącami byłabym wybrała bez wahania białą lub niebieską suknię, bo dwie te barwy łagodne i niewinne najlepiej harmonizowały z ówczesnym mem usposobieniem; teraz po długim wahanii wybór mój za zgodzeniem się na to mej matki, padł na ubranie z krepy gorąco różowego koloru, przystrojone rozrzuconemi po sukni gałazkami śnieżnej konwalji i z konwaljowym wieńcem na głowę. Po tem długie jeszcze toczyły się narady między matką moją, mną i garderobianą Zosią, nad sposobem w jakiczesane miały być moje włosy i nad tem, czy stosownie będzie uświetnić moją toaletę kilku kosztownymi klejnotami. Co do ostatniego punktu matka zdecydowała po namyśle, że najlepiej będzie jeśli na balu ukażą się bez błyskotek z wyjątkiem naszyjnika z pereł zamkniętego brylantowem śpięciem. Było to i skromne i bogate zarazem. Po tej decyzji matka moja wydobyła z szuflady swjej toalety pyszną ozdobę i oddała mi ją mówiąc, że mogę ją odtąd uważać za moją wyłączną własność. Ucieszona byłam wielce pierwszy raz w życiu otrzymanym tak kosztownym podarunkiem, ale gdy znalazłam się sama w moim gabinecie z potokiem mlecznych pereł w ręku, zadumałam się nagle i długo.

Widok pięknego naszyjnika przywiódł ku mnie odległe wspomnienia z przeszłości. Przed oczami stanął mi pokój oświetlony po nocy balowej kilkunastu świecami w kandelabrach płonącymi, a w głębi pokoju tego na sofie wpół leżąca postać mojej matki z gorączkowym rumieńcem na twarzy, z ręką gwałtownie rozrywającą wstęgi niei z których perły zbiegały po sukni jej jak grad rzęsisty łącząc się ze łzami spadającymi jej z oczu....

Znać po owej nocy bolesnej pamięci, ręka czyjaś troskliwa o bogactwo mojej matki zgarnęła rozsypane perły i zniżała je na nowo w kilka sznurów bogatych. Pytałam siebie, czy myśli smutne jakie wówczas napełniały głowę mojej matki, rozproszyły się pośród światowego wiru bez śladu, czy też zebrała je ona i nauziła na sznur pamięci, który leżąc na dnem jej piersi wiódł może jej wyobraźnię, od czasu do czasu ku pięknej postaci mego ojca, i spędzonym przy jego boku najpierwszym latom młodości? Uparcie tkwiła we mnie myśl, że tak być musiało, że matka moja pomimo zająś swych i roztargnień światowych, pomimo zresztą serdecznych około mnie starań, nosiła w sercu wspomnienia minionej przeszłości. Śród gwaru i ustawicznego ruchu w jakim obie pogrążone byłyśmy, spostrzegłam nieraz na jej twarzy wyraz taki, jakby w ciszy i tajemnicy

nieprzystępnej nikomu, żalowała czegoś, za czems tęskniła lub jeszcze skarżyła się na coś przed kimś niewidzialnym, z kim w głębi myśli swój rozmawiała. I wyglądała wtedy tak, jakby porównywała siebie do owego wędrowca, o którym mi kiedyś mówiła, co przez życie całe gnany wyobraźnią w coraz inne a inne miejsca, poczuł wóz swoich przeznaczeń zatrzymujący się na wydmie piaseczystej, o dopiekającym skwarze słonecznym i ostro wiejących wichrach...

Pewnego dnia przyniesiono mi z poczty kilka listów. Były to odezwy koleżanek z którymi na pensji łączyły mnie węzły, jak nam się wtedy zdawało wiecznej przyjaźni. Z mniejszą lub większą przyjemnością odczytywałam te pisma, gdy podniosłszy oczy na siedzącą naprzeciw mnie moją matkę, spostrzegłam, że patrzyła na mnie z pewnym niepokojem, jak mi się zdawało połączonym z ciekawością. Wyraźnie widziałam, że chciała coś wyrzec do mnie, o coś mnie zapytać, ale wahała się i usta jej raz nieco zadrgały. Po długim milczeniu ozwała się nakoniec tonem, który usiłowała widocznie uczynić obojętnym:

— Czy pomiędzy otrzymanymi listami nie znalazłaś Wacława listu od twego ojca?

### XXXIV.

Na dwa dni przed oznaczoną uroczystością przybyliśmy do Rodowa. Jakże zdziwiłam się gdy w przed dniu prawie licznego zebrania, zobaczyłam dom moich babek tak samo spokojny, ciche i niby w pół sennem pogrążony milczeniem, jakim był zawsze.

W bawialnym głęboko ocienionym salonie, babka Hortensja i babka Ludgarda, siedziały wyprostowane i spokojne; jedna z nich wyrabiała frywolitki, druga włóczkowe kwadraty, tak, jak gdyby żadna zmiana nie miała zająć w zwyczajnym trybie ich życia.

Liczna służba jak zwykle powoli i na palcach przesuwająca się po pokojach, nigdzie nie słychać było wzmożonego ruchu, nikt się z niczem nie śpieszył, nikt na pozór nie wydawał żadnych rozkazów ni rozporządzeń. Z oficyn tylko w których mieściły się kuchnie, buchał z kominów dym obfitszym niż zwykle kłębam; w cieplarniach ogrodnicy wybierali najgrubsze drzewa pomarańczowe i najpiękniejsze kwitnące rośliny, i ustawiali je na stronie; w ogrodowych alejach kilku rzemieślników bez najmniejszego stuku lub hałasu, podnosiło liczne rusztowania w kształcie wieńców, gwiazd i spiralnych piramid, na których miano w noc balową, zawiesić różnobarwne lampy. Była pewna powaga i duma w tej ciszy i niezmaconym spokoju domu, mającego nazajutrz przyjąć w swych ścianach przeszło sto zaproszonych osób. Znać było, że dom ten zdawna był przywykły do przyjęć podobnych, a pani jego uważała ten wypadek za tak zwyczajny w swem życiu, iż z jego powodu nie raczyła uczynić choćby jeden krok więcej niż zwykle, wymówić choćby jedno zbyteczne słowo, zaniedbać zrobienia choćby jednego kółka lub gzygaczka w swoich ulubionych frywolitkach. Sprężyny gospodarstwa domowego nakręcone tam znać zdawien dawna, działały same przez się: może pani domu pobudzała kiedy niekiedy ich poruszenia jednym jakim słowem, lub jednym wyrzeczonym rozkazem, ale ani słowa tego, ani rozkazu nikt z niewtajemniczonych nie słyszał, a przybyłym mogło się zdawać, że dom ten, zamiast do świetnego balu gotuje się do cichej poobiedniej drzemki.

I dopiero w dniu oznaczonym na zjazd gości, wychodząc zrana ze swego pokoju, poczułam się na dobre ogarnięta przed-balową atmosferą. W przeciągu upłynionej nocy posępne szuflady zmieniły po-

stać, nie żeby się stały wesołe i jasne, bo przeszkadzała temu sama już domu architektura, ale rozszerzyły się jakoś i napełniły nie błyszczącym i ośniewającym, ale poważnym i wytwornego smaku bogactwem.

Przestrzenie w salonach powiększyły się, pod ścianami stały wysokie grupy drzew zamorskich, z pomiędzy zieleni których wychylały się gdzieś gdzie złociste pomarańcze albo kielichy kwiatów o gorącej barwie i upajającej woni. Wielkie zwierciadła odbijały te z zieleni i kwiatów potworzone altany, i łamały w sobie srebrnawe światło kryształów zwieszających się od licznych pajaków na wzór cyplów lodu, które zdobią w zimie drzewa i gzymsy domów. Ściany gabinetów przykryły się starożytnymi makatami a tu i owdzie od niechcenia, zarzucono na sprzęty kobierce wschodnie, z których każdy sam jeden przewyższał w wartości wszystkie modne sprzęty i błyskotne nowożytnie cacka, niejednego z sąsiednich zbytkownie urządzonych domów.

Na widok tych po raz pierwszy dających się spostrzedz w Rodowie przygotowań do balu, wzmogło się trwożne i radośne zarazem oczekiwanie moje.

Nogi drżały podemną gdy przechadzałam się po wonnych i wspaniale ustrojonych salonach, żadnego pokarmu do ust wzięść nie mogłam i tylko matka moja spostrzegłszy zbyteczną moją bladeść, kazała mi wypić kilka kropel wzmacniającego wina.

Tymczasem, w kilka godzin po południu zaczęły przed ganek zajeżdżać liczne powozy, na dziedzińcu brzmiał ustawiczny turkot kół, klaskanie z batów, tentent koni i głosy służby; a salony napełniały się coraz liczniejszemi gośćmi.

Babki moje siedziały obok siebie na jednej z kanap, wyprostowane i uprzejmie witały przybywających, na wpół tylko podnosząc się z siedzenia i końce białych swych palców podając do uścisku damom, a panom do pocałowania. Żadna z nich nie powstała całkiem ni razu, ani zbliżyła się ku drzwiom na niczyje spotkanie. Za to matka moja i p. Rudolfova robiły honory domu, pierwsza z właściwym sobie wdziękiem pełnym godności i światowego taktu; druga, ze zwyczajną jej także przesadną grzecznością, w której był odcień fałszu i obłudnego pochlebstwa. Spotykały one damy przy wejściu, panów na środku salonu, zapoznawały z sobą osoby, które poraz pierwszy się spotkały; rozpoczynaly naci rozmów, związywały niemi rozliczne kółka, a potem przechodząc od jednego z nich do drugiego utrzymywały pomiędzy licznem zebraniem tę równowagę towarzyską, to powszechne ożywienie i zadowolenie, które jest arcydziełem gospodyń biegłych w misternym kunszcie prowadzenia salonowej zabawy.

Ja i Rozalja zajmowałyśmy się pannami. Dział nasz z pozorów tylko mógł wydać się łatwiejszym od działu naszych matek.

Usiłowania jakie czyniłyśmy z Rozalją dla ożywienia licznego grona panien, które zasiadły pod jedną ze ścian salonu, mało miały powodzenia — tymbardziej, że młodzi mężczyźni według przyjętego zwyczaju, nie zbliżali się do nas od razu, ale mieli sobie za obowiązek bawić rozmową poważne panie lub łączyć się do kółek poważnych panów.

Siedziałyśmy więc wszystkie rzędem tworząc rozmaitość tylko barwami sukien, bo pozy nasze i wyrazy twarzy, były tak jednostajne jakbyśmy wszystkie były mniej więcej wiernym portretem jednej i tej samej osoby. Wydawałyśmy się jak róże na jednym krzaku kwitnące, — a jednak w głębi jak wielkie, jak nieskończone pomiędzy nami leżały różnice ...

I nie łączyłabym się teraz o to, czy w przeciągu mniej więcej godziny takiego pod ścianą posiedzenia, nie widziałam dwóch lub trzech ziewnięć ukrytych naprędce batystową chusteczką, albo przysłonionych rozszerzonym nieco stereotypowym uśmiechem. Ale

rezyłabym za to, że ziewnięcia te nie wyszły z ust moich ani też Rozalji. Dla mnie wszystko co mię otaczało było zbyt nowe i zajmujące, abym się choć na mgnienie oka znudzić miała: drżałam zresztą cała od oczekiwania rozpoczęcia się na dobre zabawy i czułam, że z przeciwnej strony salonu, z pomiędzy grupy z ożywieniem rozmawiających mężczyzn, wysnuwały się i leciały ku mnie promienie pewnych wielkich, ciemno siwych oczów... Rozalja zaś zdawała się być pod wpływem wewnętrznej jakiejś gorączki. Na śniadych jej policzkach wybijały się krwiste rumieńce, oczy paliły się, wyrazy wypadały z ust prędko, z pośpiechem niby gorączkowo, najczęściej z towarzyszeniem wpółcichego chichotu. Utraciła całkiem marmurowy spokój czoła i pokorę postaci. Wyglądała jak osoba, która się bardzo lęka a pragnie okazać się odważną. Chwilami wpatrywała się we mnie tak dziwnie, że mi to aż przykrość sprawiało. Nie spuszczałam wszakże oczu i wytrzymywałam jej spojrzenie. Alboż się czułam względem niej winną? Piątą godzinę uderzyły zegary, za oknami widać było jak słońce schylało się już ku zachodowi, drzwi od jadalnej sali otworzyły się na oścież a na progu stanęło dwóch lokajów i zawiesiło serwety na swych ramionach na znak, że podano do stołu.

Zabawa bowiem wieczorna miała być poprzedzona wielkim obiadem.

W koło ogromnego stołu ustawionego w podkowie, uginającego się nieledwie pod ciężarem srebra i kryształów zasiadło około stu osób; poważne panie w koronkach na głowie i aksamitnych ciężkich sukniach, panny w różnobarwnych jedwabiach, panowie we frakach na których czerni odznaczały się tylko bogate od zegarków, łańcuchy. Wpółciche rozmowy prowadzone przy stole, rozeszły się po sal s tłumionym szmerem podobnym do roju pszczoł brzęczeniem i łączyły się z dźwiękiem srebra i cichej licznnej służby stąpieniem.

Siedziałam pomiędzy dwoma pannami najmniej mi znajomymi a tak milczącymi, że wszelkie usiłowanie moje zawiązania z niemi rozmowy, nie osiągały pożądanego skutku. Zrazu więc zajęłam się śledzeniem fizjonomji i ubiorów siedzących w koło stołu osób, ale im więcej przeciągał się obiad, tem mniej zajmowała mnie ta monotonna zabawa i zaczęłam nakoniec jak zbawienia wyglądać chwili, w której skończy się obnoszenie półmisków następujących po sobie w takiej ilości, że już i liczby ich zapamiętać nie mogłam.

Zegar w sali uderzył szóstą, potem siódmą godzinę, wskazówki jego dobiegały już i do ósmiej, a półmiski unosiły się jeszcze nad głowami towarzystwa, jak złowieszcze duchy gastronomji zapowiadające nieskończoną nudę. Na wszystkich twarzach malowało się znużenie i przymus, kobiety a szczególnie panny wyglądały jak istoty ponoszące z bohaterką i godną lepszej sprawy cierpliwością dotkliwie katusze.

Nareszcie, podano wety a w tej samej chwili niby pistoletowe wystrzały, stuknęły korki wydobywane z butelek szampana.

Jeden z gości poważny mężczyzna o szpakowatych włosach i wąsach, wielce poważany w okolicy obywatel, a przytem daleki nasz krewny powstał na wpół z siedzenia, uniósł w górę kieliszek i zwracając się do babki Hortensji pełnym poważnej galanterji głosem wyrzekł:

— Pozwolisz szanowna pani, abyśmy tu zebrani w jej zaenym i gościnnym domu, w dowód głębokiego szacunku i życzliwych uczuć jakie nas względem pani przejmują, wypili jej zdrowie.

Na hasło to podnieśli się wszyscy panowie, i gwar głosów a dźwięk kieliszków stwierdził wyrazy poprzedzające.

Babka moja grzecznem lubo zawsze wyniosłem

skinieniem głowy podziękowała wszystkim i uczyniła ręką gest dający znać, że pragnie coś powiedzieć. Wszyscy umilkli i patrzyli na nią z uszanowaniem. Babka Hortensja powiodła w koło wzrokiem, wyprostowała się jeszcze bardziej i zaczęła mówić głosem tak dźwięcznym, że mógłby być wziętym za głos młodej osoby, gdyby nie właściwe jej lubo znacznie złagodzone twarde i surowe modulacje tonów.

— Wdzięczna wam jestem szanowni sąsiedzi i krewni za łaskawe usposobienia wasze dla mnie, których dalszcie dowód nawiedzając dziś wspólnie moje progi. Życzliwości tej zresztą byłam pewną, bo przebywszy między wami całe życie, miałam nieraz sposobność przekonać się o niej z radością. Nie mogę jednak powstrzymać się od wyznania, że dzisiejszego zebrania pragnęłam najbardziej dla tego, aby mój własną ręką i we własnym domu przedstawić wam córkę mojej ukochanej synowicy Matyldy, pannę Wacławę i polecić ją waszym pokrewieńskim i sąsiedzkiemu względom. Jestem stara, a ona zaledwie pierwsze w świecie zaczyna stawiać kroki, może być że wkrótce zabraknie mię między wami, przed nią długa jeszcze leży przyszłość. Niechże, gdy mnie nie stanie ona mię w tej ukochanej zastąpi o-kolicy i niech na nią przeleje się ten ogólny szacunek i przychylność, któremi cieszyłam się i szczytałam zawsze przez czterdzieści blisko lat mieszkając w Rodowie.

Słowa te elektrycznym prądem przebiegły po całym towarzystwie a we mnie ugodziły jak piorun. Przez chwilę zdawało mi się, że zemdleję pod gradem skierowanych na mnie spojrzeń, pod wpływem złożonych uczuć wdzięczności dla babki, radości, dumy i zmieszania.

Poważny obywatel, który wprzód przemawiał, podniósł znowu swój kielich i obiegłszy spojrzeniem towarzystwo zawołał.

— Panowie! pijemy zdrowie panny Wacławy!

— Zdrowie panny Wacławy! zawołał chór mężczyzn, dźwięknęły kielichy i wszystkie twarze zwróciły się ku mnie...

Stanowczo zostałam passowaną na bohaterkę zabawy i byłam punktem na którym powszechna skupiła się uwaga. Nakoniec babki moje podniosły się a za nimi całe towarzystwo powstało od stołu. Po wyjściu z sali jadającej panny i młodsze panie udały się do swych oddzielnych pokojów, aby obiadową toaletę na balową zamienić. Matka moja poprowadziła mnie także do mego osobnego pokoju. Tam z przygotowanym strojem czekała Zosia, ale matka moja usunęła ją i sama ubierać mię zaczęła.

Nad czołem podniosła mi włosy wysoko a na nie lekko położyła wianuszek z konwalji; potem kilka długich loków spuściła mi na obnażone ramiona, a na szyi spięła naszyjnik z pereł. Własną też ręką włożyła fałdy różowej mojej sukni, rozsiała między nimi gdzieniegdzie drobne konwalji gałązki i w rękę mi podała wachlarz misternie rzeźbiony z kości słoniowej.

Gdy już wszystko było skończone kazała mi przejść się po pokoju parę razy, stanąć od niej o kilka kroków, obejrzała mię od stóp do głowy i z zadowoleniem rzekła — dobrze! W tej samej chwili ozwały się w oddali pierwsze akordy muzyki, i przeciągłe tony jakiejś przez orkiestrę wykonywanej arji włoskiej, rozpięły się po domu.

Jednocześnie dom cały i dziedziniec zagorzał od światła, a w ogrodzie zapłonęły różnokolorowe lampy rzędem pozawieszane w głębiach cienistych alei, unoszące się nad trawnikami w gwiazdziste koła i wieńce, albo rozrzucone gdzieniegdzie, pomiędzy gęstwinę parku jak błakające się nieśmiałe ogniki.

Matka moja oparła moją rękę na swem ramieniu i obie wyszliśmy do salonów, wrzających gwarem rozmów, a załanych powodzią światła i muzyki.

Kiedy stanęliśmy na progu sali do tańca, muzyka jakby oczekująca tylko naszego wejścia, uderzyła ostatni akord tęsknej arji i zagrzmiała hucznym polonezem.

Tak jak w onem dawnym dziecinnem o balu marzeniu, czułam zawrót głowy, tak teraz przed oczami memi rozciągnęła się mgła delikatna, z za której olśniewającym blaskiem widniały twarze mnóstwa ludzi, barwy sukien i kwiatów i połyskiwie światła djamentów. W głowie mojej wszelka myśl ustała nagle, a stał się w niej szum i wir nie wypowiedziany, i tylko wyraźnie, bardzo wyraźnie czułam i widziałam, że mnóstwo oczów wpatrywało się we mnie, że matkę moją i mnie otoczyło liczne koło mężczyzn, że rozległ się w koło nas szmer słów półgłosem wymówionych z których każde miało upajający dźwięk uwielbienia. Wzrok mój śmił się i niewyraźnie rozpoznawał przedmioty, ale słuch zaostrzył się i z dziwną przenikliwością chwycił w przelocie te półciche wyrazy, które jak grad nagłe i urywane sypały się z ust otaczających nas zbliżka i biegły po sali coraz dalej, jak echa powtarzając się w nieskończoność.

Słyszałam jak nazywano mię piękną, uroczą, zachwycającą, i jak podziwiano wspaniałą nieuszkodzoną latami piękność mojej matki. Pytano się wzajemnie, która z nas jest piękniejszą? I odpowiadano sobie, że matka moja była pięknoscią w pełni rozkwitu, a ja młodzieuchym pączkiem cudownego kwiatu.

Nagle ocknęłam się i silnie oparłam rękę o ramię mojej matki, bo wir w mej głowie ustał, ale za to przez piersi ostrą przemknęła błyskawica.

Obok mnie stanął p. Agenor i podawał mi ramię do poloneza. Świetnym a długim szeregiem posuwały się pary w okół salonu. Na przodzie szły panie poważne o długich szeleszczących sukniach, oparte na ramionach panów podżytych, a dalej młode panny obok młodych towarzyszy wieńcem mnóstwobarwnym. I całe koło posuwistym wdzięcznym krokiem falowało w różne zwroty i skrety, niby waż olbrzymi mieniący się kameleonową grą kolorów, świetny połyskiem drogich kamieni, ożywiony ludzkimi oczami, które pały wezbranem życiem.

Ręka mojego towarzysza drżała trochę w lekkim uścisku trzymając dłoń moją; wzrok jego tkwił w mojej twarzy rozkochany, rozmarzony, a mnie się zdawało, że idziemy tak wszyscy poważnym pochodem, kierowani cudowną melodją muzyki prosto ku wrotom raj, które się wnet otworzą przed nami... Stopniowo, muzyka coraz wolniejsza przybierała tempo, pary rozłączały się, rozstawały z ukłonami, świetne koło rozprysnęło się po salonie, polonez był skończony a natomiast szybki wale zaszumił.

Pan Agenor znowu stał przy mnie i podawał mi ramię do tańca. Bal wrzał w całej pełni, tańce następowały jedne po drugich, a przed rozpoczęciem każdego wpadałam w formalne obłędzenie od młodych panów, którzy dobijali się o szczęście tańczenia ze mną. Nawet pan Henryk z okularami zsuniętymi na sam środek nosa i policzkami okrytymi niezwykłym rumieńcem, stał nieustannie za moim krzesłem, pilnował chwili w której bym mogła podać mu rękę do tańca, trzymał mój wachlarz gdy tańczyłam z kim innym i ilekroć razy miał ku temu sposobność obdarzał mię komplementami, których końca dosłuchać nie miałam nigdy cierpliwości. Nawet Franuś zdobył się na rozpaczliwą jakąś energję i śmiałość, nie ustępował kroku innym i chociaż wprawdzie nie wiele mówił, i zdawał się być bardzo wzruszonym, zaprosił mnie jednak do mazura, którego tańczył bardzo zgrabnie. Kilku innych nieznanych mi dotąd młodych panów, otaczało mię także ciągle starając się o tańczenie lub rozmawianie ze mną i wrywając sobie jakby na wy-

ścięgi najmniejsze słowo, choćby przelotne moje spojrzenie.

Pomimo tych hołdów, których widocznie byłam przedmiotem, pomimo szału zabawy jaki mię ogarniał, czułam pewien niepokój i na serce coraz cięższe spadało mi uczucie. Pan Agenor nie zawsze należał do koła mężczyzn, którzy mię wciąż otaczali. Zbliżał się wprawdzie, tańczył ze mną, rzucał spojrzenia pełne rozkochania i rozmarzenia, nie mniej jednak nie mogłam nie spostrzedz, że w sali pełnej ludzi był punkt pewien, punkt który jakby z umysłu i upornie trzymał się ciągle w jak największej odemnie odległości a na pana Agenora wywierał wpływ przyciągający, któremu on oprzeć się nie mógł. Punktem tym była Rozalja...

I zaprawdę nigdy Rozalji nie widziałam tak piękną jak wtedy. Była ona bez zaprzeczenia najpiękniejszą z całego liczego zebrania kobiet, i patrząc na nią zapytywałam myślą: dla czego ja właśnie zostałam uznaną za królową zabawy i najuczniejszą odbierałam hołdy, gdy właściwie jej to należały się one?

Pośród świetnie i bogato ustrojonych panien, wyróżniała się surową niemal skromnością ubioru: najmniejsza nie zdołała ją błyskotka a pewna duma spojrywała w jej prostej sukni z białego muslinu, której krój nie zastosowany do mody, okrywał klasyczne jej kształty fałdami podobnymi do posagowych draperji. W czasie gdy wszystkie głowy kobiece zdobne były w wieńce, perły, djamenty i w misterny upłot włosów na którym znać było długo godzinne przed zwierciadłem studja, Rozalja z hardą prostotą odrzuciła z nad czoła swoje czarne włosy, i opuściła je w bogate lecz proste warkocze na ramiona, które same jedne wśród wszystkich pokryte były muslinem. W warkoczach tych tkwiło kilka różnokolorowych naturalnych aster, niedbale i bez symetrii włożonych, widocznie bez uwagi a nawet bez pomocy zwierciadła. Jeżeli ten strój do zbytku skromny, bardziej polny niż balowy, bardziej pasterski niż do salonów zastosowany, był wynikiem rachującej na efekt karkietery, należało przyznać, że Rozalja zręcznie umiała dopiąć swego celu. W istocie wyróżniała się z pośród nas wszystkich, postać jej uwydatniła się na jednostajnym tle naszym z wypukłą wybitnością płaskorzeźby, i pośród mnóstwa podobnych do siebie strojem i układem istot, sama jedna stanowiła odrębną a energicznie wydatną indywidualność.

Układ i wyraz swęj twarzy, Rozalja mistrzowsko potrafiła zastosować do dumnej i poetycznej prostoty swego ubrania. Wyglądała jak wiejska niewinna dziewczyna, trafem jakimś wplątana w koło światowych i rozbawionych panien; jak dziewica pełna słodyczy i spokoju, wśród istot, które w zabawie coraz więcej traciły konwenansową sztywność, a objawiały ten szal i to upojenie, które tem naglęj wybuchają na zewnątrz im dłużej i ściślej ukrywane były w piersi. Wysokim wzrostem swym przenosząc wszystkie towarzyski, panowała nad nimi spokojem ruchów i pogodą czoła, które podniosło się wysoko zda się z dumą ubóstwa, niewinności i prostoty.

Za każdym spojrzeniem na Rozalję, nie mogłam stłumić w sobie jakiegoś gorzkiego, niemal trwożnego uczucia; widok jej zdawał się być czarną plamą, rzuconą ręką nieznanego fatalizmu, na tło świetne wśród którego czułam że błyszczałam najjaśniejsz.

Im dłużej ciągnął się bal i im więcej się ożywał, tem dotkliwszem dla mnie stawało się to gorzkie uczucie. Widziałam wyraźnie że stopniowo i jakby ulegając sile potężniejszej od jego woli, p. Agenor oddalał się odemnie, a zbliżał do tej czarodziejki, co patrzyła na niego swemi czarnymi oczami tak słodko i niewinnie a pałającą zarazem... W mazurze postać jej chyliła się ku niemu wiotko a miękko, na wzór gałązki powoju, która pragnie dąb poblizki





oczami zasnutymi jakąś mgłą wilgotną, stanęłam na progu sali. Obok mnie stanął natychmiast p. Agenor.

— Pozwolisz pani przypomnieć sobie, że miałem szczęście otrzymać od niej obietnicę tego kadryla, rzekł podając mi ramię.

Stanęliśmy do tańca a naprzeciw mnie zobaczyłam stojącą Rozalję. Kiedy muzyka grała przedwstępne takty, patrzyłam uważnie na pana Agenora. Oczy jego tkwiły także w mojej twarzy, ale dziwna rzecz! wydało mi się, że wzrok jego dwoisty był jakiś i gdy połowa ocznych jego promieni spływała na mnie, druga połowa w ukośnym kierunku dążyła do Rozalji.

Daremnie usiłowałam wmówić w siebie, iż spostrzeżenie to było prostym przywidzeniem, w piersi huczały i burzyły się uczucia dziwne, niby coraz bardziej zbliżająca się burza...

W tańcu pan Agenor mówił mi mnóstwo pięknych rzeczy, a gdy go słuchałam wszelkie obawy i przykre poczucia znikły jak zaklęte, mocą jego słowa i dźwiękiem głosu. Lecz skoro tylko przestawał mówić, wracały tłumem i widziałam już tylko czarne płonące oczy Rozalji, które z pod rzęs długich patrzyły na niego tak niewinnie a namiętnie zarazem, i dwoiste promienie jego wzroku z których połowa zawsze wrywała mu się z pod powiek, jakby przemocą i uciekała odemnie....

W ostatniej figurze kadryla pan Agenor nachylił się nieco ku mnie i szepnął:

— O jakże wdzięcznym jestem pani za ten ofiarowany mi kadryl: każda chwila obok pani spędzona unosi mię w niebo wybranych!

Gdy kończył te wyrazy, kolój tańczenia przysłała na niego i na Rozalję. Postąpili oboje naprzód i widziałam jak przy zbliżeniu się rzucili sobie w twarze ogniste spojrzenia.

Ale p. Agenor wrócił do mnie i kontynuował rozmowę.

— Jestem podobny do spragnionego wędrowca, mówił, który długo po piaszczystych wędrując pustyniach, znalazł nareszcie oazę a na niej kwiat cudownej piękności...

Tu przysłała nań znowu kolój podania ręki Rozalji, i spostrzegłem że obie ich dłonie spłotły się silnym i dłuższym niż trzeba było uściskiem.

Utworzyliśmy wielkie koło, p. Agenor dokończył mi rozpoczęte słowa.

— Oazą tą, rzekł, na której zatrzymałem się wędrowce mego życia, są chwile przy pani spędzone, a kwiatem wspaniałym jaki na tej oazie znalazłem, jest uczucie....

Nie dopowiedział, bo w tej chwili koło rozrywało się w pojedyncze pary. Objął moją kibić drżącym ramieniem, ale głowa jego niby słonecznik za słońcu obróciła się w stronę Rozalji, która okręcała się innym tancerzem.

Kadryl był skończony. W sercu mojem wzmogły się przykre uczucia — burza wrzała już w niem i huczała na dobre...

W sali coraz duszniej było i parniej, pomimo że utworzono na oścież drzwi od ogrodu. Dążyłam ku drzwiom tym, aby ochłodzić się nieco na progu, gdy na drodze mojej zobaczyłam Rozalję stojącą tak, że koniecznie przejść obok niej musiałam. Stała oparta ręką o konsolę z takim rozpromienieniem na twarzy, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widziałam.

Okropność! Radość rozlana po twarzy kuzynki ugodziła mi w samo serce ostrem zakłuciem: pomyślałam sobie, że zapewne wzniecał ją długi uścisk ręki p. Agenora i ogniste spojrzenie jego, i poraz pierwszy w życiu doświadczyłam poczucie głuchej niechęci podobnej do nienawiści.

— Kuzynko! rzekłam zatrzymując się nieco obok Rozalji, dziwnie jesteś ubrana! Toć wiesz: zapewne że na bale nie używają się suknie pod szyję, a te

astry tak niedbale włożone wypadają ci z warkoczów!

Nie zastanowiłam się ani sekundy nad słowami jakie wyrzekłam i ani pomyślałam, czy zawierają one w sobie choć szczyptę zdrowego rozsądku. Widziałam tylko, że ubiór Rozalji wyróżniał ją z pomiędzy nas wszystkich i czynił ją cudownie piękną i uroczą.

Podniosła na mnie oczy pełne słodyczy, a zarazem brwi jej w harde zagięły się łuki i na ustach osiadł uśmiech przejmującej ironji. Dotknęła ręką kwiatów, które w malowniczym nieładzie spuszczały się na jej ramiona i odpowiedziała zwolna.

— Życzę ci śliczna kuzynko, aby na wzór moich biednych astrów, które mi opadają z warkoczów, nie opadły z ciebie kwiaty marzeń i złudzeń dziecińczych!

Odpowiedź Rozalji słodkim wymówiona głosem, zasyczała mi w ucho jak ostry sarkazm, i prosto w oczy rzucane naigrawanie się z młodości mojej i wiary. Zakryłam twarz wachlarzem czując że blade i nie chcąc aby ktokolwiek zmianę te dojrzał, żywo odwróciłam się od Rozalji. Obok siebie zobaczyłam Emilkę, pochwyliłam jej ramię i wybiegłyśmy obie do ogrodu.

Noc sierpniowa ciepła i cicha, pogodne sklepienie rozpościerało się nad gorejącym różnobarwnymi światłami ogrodem. Pomiedzy oświetloną lampami przestrzenią w dole a gwiazdzistymi u góry blaskami, wisiał pas grubych cieniów niby przepaść, którą trzeba przebyć ażeby z ziemi dostać się pod niebo. Idąc w milczeniu obok Emilki myślałam, że takie same cienie leżą pomiędzy sercem człowieka a wymarzoną przez niego krainą ideałów. Te lampy na ziemi które wnet pogasną, to może symbole połysków świata obok których tyle błakających się spostrzegałam cieni: te gwiazdy na niebieskim stropie, to jakby obrazy prawd wiekuistych i niezmaconych radości, kto wie, niedosięgniętych może jak niebo? Emilka może też podobne zadawała sobie pytania, może też była smutna bo mileząc szła koło mnie, i obie cicho przemycaliśmy się pod jodłami, których stopy kapały się w rozsianych po ziemi lamp promieniach, a szczyty tonęły w ciemności i czarne w górze tworzyły sklepienia. Tu i owdzie zaszeleściły ciche stapania, zaszemrał odgłos rozmowy stłumionemi prowadzonej głosami, zamigotało za drzewami parę sukien kobiecych a my biegłyśmy coraz dalej i głębiej w ogród, unikając spotkania z przechadzającymi się osobami. Po chwili znalazłyśmy się w parku w którym nikogo już jak się nam zdawało nie było, i gdzie wśród gęstwiny rzadka tylko zapalone błakały się lampy. Za to czarny pas rozdziałający ziemię od nieba, mniej tam był ciemnym, gwiazdy świeciły widoczniej, i wyraźniej słychać było jak wietrzyk łagodny poruszał w głębi gajów młode brzoza gałązki. Objęłyśmy się ramionami i usiadłyśmy obok siebie na ławeczce, w zupełnie ocienionem miejscu. Pałac ze swemi gorejącymi oknami, pozostał za nami daleko, zakryty gęstą drzew zasłoną, i tylko kiedy niekiedy dochodziły nas oderwane dźwięki muzyki, albo nagłe wybuchy głosów rozplywające się wnet w szmer monotony i tłumiony przestrzenia.

Zbliżyłyśmy do siebie nasze uwieńczone głowy i spłotłyśmy dłonie silnym uściskiem.

— Smutno mi! szepnęłam Emilce, do ucha prawie.

— Smutno mi! odszepnęła.

I milczałyśmy obie, patrzyłyśmy w gwiazdy pytając je o tajemnice tego dziwnego świata, który nas pochłaniał, a może i o zagadki własnych serc naszych.

— Emilko! rzekłam po chwili, powiedz mi: czym jest to wesele z za którego widnieją tak rozliczne cierpienia?

— Złudzeniem! odpowiedziała zwolna.

— A ten blask olśniewający, po którym włóczę się takie brzydkie tajemnicze plamy?

— To opjum, którym poją się ludzie, aby uspić bóle swoje, odrzekła ciszej jeszcze.

— A taż dwulicowość ludzka, w której prawdy dopytać się nie można?

— To wielka maskarada świata.

— Emilko! zawołałam, gdzie więc jest prawda?

— Nie wiem, odrzekła i długo milczałyśmy znowu.

— Prawda! zaczęła po chwili Emilka, każda z nas gdy w świat wstępuje, czuje ją w sercu swoim, ale dla czego potem traci ją, kędy ona ulata?... ja nie wiem.

W głosie Emilki drżał żal bez granic co w burzę moich uczuć wlał nowy żywioł boleści.

— A więc, zaczęłam, niepodobnaż nam dociec co prawdą jest na ziemi a co udaniem? Co treścią istotną serc i myśli ludzkich, a co pustą tylko formą? Może to co widzimy nie egzystuje wcale? Emilko! możemy chore obie? Szłyśmy o chorobie, która wprawia ludzi w dziwaczne przywidzenia. Myślę, że to co widziałam dziś i słyszałam, było tylko przywidzeniem!

— Nie, to było prawdą, szepnęła Emilka.

— A więc, zawołałam, którą z nas on kocha? mnie czy ją? Emilka silniej otoczyła mię ramieniem i skroń swą do mojej przycisnęła skroni.

— Wacławo, mówiła zeicha, z pieśczołą; jestem starsza, wiele starsza od ciebie, kocham cię, prawda niezupełnie jeszcze uleciała z mego serca.... żal mi cię.... on ciebie nie wart... a jednak musisz go przyjąć....

— Dla czego? zawołałam.

— Bo nie masz prawa wyboru.... bo żyjesz w sferze, której granic przekroczyć ci nie wolno, bo jeśli serce pociągnie cię do kogoś, kto nie będzie miał takiego jak on pięknego pałacyku i takiego brzmiącego nazwiska, matka twoja powie ci tak, jak mi dziś moja powiedziała: ten człowiek nie dla ciebie....

Każde słowo Emilki ból mi sprawiało. Ideał mój chwiał się na swym piedestale: na wspaniałym kwiecie, który mi w sercu rozkwitnął, chwiały się purpurowe listki, a czułam, że każdego z nich gdy uleci uniesie z sobą skrwawioną szmatkę mego serca.... Zebrałam wszystkie siły ducha, kwiat mój otoczyłam niemi i drżąca całą przyciskałam dłoń do piersi, aby z niej nie uleciały długimi wypięstowane marzeniami uczuć listeczki.

A przed oczami memi stała wciąż Rozalja.... przy niej widziałam p. Agenora; może tam w sali tańca stoją teraz obok siebie i patrzą sobie w twarze, albo w szalonym tańcu ona zwiesza się na jego ramieniu anielsko niewinna, szatańsko namiętna. Na widok tego obrazu zdawało mi się, że serce zamrze mi w piersi z boleści, a tu obok niego stawała twarz Heleny zbladła w pogoni za ideałem, i w uszach brzmiały gorzkie jej słowa: może i jest miłość na świecie, ale ja o niej nie wiem! Pod ciężarem tych słów młodej towarzyski, uginająca się myśl moja, a w piersi mej wzmagała się walka prawdy, która tkwiła w mem sercu z oblegającymi mię zewsząd zmerami fałszywych pozorów....

d. c. n.

# MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁUMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Cokolwiek zajść może w przyszłości skoro rzecz się cała wyjaśni, to Bianka na teraz powinna pozostać w fatalnej wszystkiego nieświadomości. W czasie tego procesu myśli w umyśle Anny, Bianka rozmawiała z gospodynią o niewidzialnym mężu Anny:

— Jakżeż on wygląda? zapytała z ciekawością.

Wejście Anny wstrzymało odpowiedź gospodyni.

— Nie zatrzymujemy dłużej pani rzekła Anna, gdyż i tak przy rozlicznych zatrudnieniach nadużywamy jej dobroci. Już teraz ja sama ubranie miss Bianki dokończę.

Gospodyni wyszła a Bianka ciekawością trawiona rzekła:

— Muszę przecie czego się dowiedzieć o tym twoim ukochanym. Czyż on taki nieśmiały? Słyszałam, żeście za drzwiami szeptali z sobą. Czy jesteście zazdrosną, czy sądzisz że go w tym stroju oczaruję?

W ubraniu złożonem z długiej sukni jedwabnej, koloru *verd de bouteille*, podpiętej z przodu spilkami a ogoniatą z tyłu, z zarzuconym szalem pomarańczowym, z owiazaną fularem głową ażeby jej przemokłe uschły włosy, Bianka wyglądała rzeczywiście czarująco. Uśmiechając się z całą szczerotą młodości, przysunęła się bliżej do Anny i z udanym przestrawem wówiła dalej:

— Tylko na miłość Boga, nie mów mężowi swojemu, że to są rzeczy pani Inchbare. Ukaże się mu tak nagle, że ani się domyśli kogo ma przed sobą. Oh! cóżbym dała za to, gdyby mnie Arnold teraz mógł zobaczyć!

— Co tobie? Co tobie? zawołała Bianka szybko do Anny zbliżając się! Bładość twoja przeraża mnie, Anno jest w tem coś, czego pojąć nie umiem. Jesteś niesprawiedliwą i niedobrą, że mi nie ufasz. A wszakżeż dotąd żyłyśmy z sobą jak siostry!

Anna ciężko westchnęła, pocałowała Biankę z uczuciem prawdziwego przywiązania i podając list rzekła:

— Z listu tego dowiesz się o wszystkim. Ale nie czyń mi wyrzutów.... Przeczytaj!

Bianka poznała pismo.

— Cóż to znaczy? zapytała — to twoja ręka.

— Napisałam go po odjeździe sir Patrika. Miałas go jutro rano odebrać, przeczytaj więc go dzisiaj, bo cokolwiek teraz przed tobą wyznać bym mogła, wszystko to ten list zawiera. Przeczytaj go!

— List do mnie od ciebie gdy jesteśmy z sobą? coś tak dziwnego czego nie mogę zupełnie pojąć.

— Czytaj! odezwała się Anna wskazując pismo, głosem wysiłonym jakoby złamanym.

Bianka rozłamała pieczętkę, szybko przebiegła pismo ale dłużej zatrzymała się przy ustępie:

„A teraz, ukochana moja, przypuszczasz zapewne że ci nagrodzę obawę twoją o mnie i współczucie, wypowiadając całe moje położenie obecne i co zamierzam robić w przyszłości. Tego uczynić nie mogę. Nie posądzaj mnie o nieufność, o brak przywiązania, o serce moje na zawsze z uczuciem siostry kochać

cię będzie. Jestem nieszczęśliwą bardzo a cierpię niewymowne męki, że mimo własnej woli milczę muszę przed i tobą osłaniać się tajemnicą. Ale nadzieje chwila zupełnej otwartości, na teraz tajemnica jest konieczną. Nadto rozłączyć się musimy, choć Bóg widzi ile nad tem boleję. Pamiętam, że przyrzekała matce twojej, że dla ciebie zawsze będę kochającą cię siostrą, że matka twoja dla mojej była prawdziwym aniołem opiekuńczym. Wszystkie te wspomnienia rozdierają mi serce, lecz to nie zmieni mego obecnego położenia. Będę często pisywała do ciebie, będziesz myśлом moim zawsze przytomną, dopóki szczęśliwsza nie nadejdzie chwila, dopóki nie złączymy się znowu. Błogosławieństwo Boże nad tobą ukochana moja, a nademną zmiłuj się Boże liतोसीwy!

Bianka w milczeniu przystąpiła do sofy na której Anna siedziała. Przez chwilę patrzyła się w jej licca, potem przy niej usiadła i położyła głowę na jej ramieniu. Smutna, rozżalona list schowała, ujęła rękę Anny i przyciskając ją do ust z czułością rzekła:

— Bądź spokojna moja droga, będę cierpliwa ale nie ciekawa.

Anna gwałtownym wybuchnęła płaczem.

Burza przemineła, deszcz jednak lał ciągle. Bianka podsunęła się ku oknu i patrząc w ciemnicę nocną rzekła:

— Widzę zbliżające się światła na moczarach. Jada zapewne po mnie z Windygates, a może to i sama lady Lundie, wejdz więc lepiej do sypialni.

Anna była posłuszną.

Bianka pozostawszy sama, wyjęła list Anny, przeczytała go raz drugi i utwierdziła się w raz powziętym postanowieniu, gdy obok Anny na sofie siedziała. Sir Patrik był jedynym człowiekiem, którego charakterowi i doświadczeniu zaufać zupełnie mogła. Osądziła zatem że w interesie Anny uczyni najlepiej, gdy z nim otwarcie o wszystkim pomówi.

Powóz zajechał przed oberżę i mistress Inchbare wprowadziła pannę służącą lady Lundie która oświadczyła, że lady zaniepokoiła się strasznie, posłyszawszy że miss Bianka pojechała wolancikiem, i kazała zaraz zaprządz do powozu. Chciała sama pojechać, lecz dostała silnego aktu nerwowego jakiemu ulega zawsze gdy doznaje wielkiego, moralnego wzruszenia. Wysłała ją zatem w swoim zastępstwie.

— Przywiozłam i rzeczy, mówiła dalej — byś pani przebrać się mogła. Rozkazała mi przytem lady Lundie, ażebyś pani nie chciała powrócić że mną, pojechała na leśnictwo i sir Patrikowi wszystko opowiedziała.

Bianka odebrała rzeczy i wyszła z Anną do sypialni.

— Spotka mnie pewno okropne połajanie, odezwała się z westchnieniem — ale nie trwożę się tem i jedynie o ciebie jestem niespokojna. Czy pozostaniesz tutaj dłużej?

Pobyt dalszy był dla Anny konieczny, jeżeli miała się doczekać przybycia Godfryda. Odpowiedziała zatem, że w Craig Fernie pozostanie.

— Przyrzekasz napisać do mnie?

— Z pewnością.

— Powiedz... czy mogę coś uczynić dla ciebie?

— Nie, nie, droga, kochana moja!

— Możemy się zobaczyć w Windygates, gdybyś mnie potrzebowała. Nikt o tém nie będzie wiedział. W czasie drugiego śniadania przemkniesz się niepostrzeżona pomiędzy krzewami, i wnidziesz przez okno otwarte do biblioteki. Dnia każdego będę o tej godzinie czekała na ciebie. Nie odmawiaj mi tego a pisuj często, bo będę bardzo niespokojna.

Wyrazy te serdeczne pocieszyły Annę niewymow-

nie. Pochwyciła zatem Biankę i tuląc ją w serdecznym ucisku zapytała z czułością:

— Czy zawsze taką dla mnie pozostaniesz? Czy nigdy nie nadejdzie chwila, w której mnie mogłabyś znienawidzić? A teraz bywaj mi zdrowa; dzięki ci i za tę krótką chwilę pociechy.

Otworzyła drzwi i zawołała na garderobiane. Ucisnęły się raz jeszcze i Bianka wybiegła a Anna pozostawszy w sypialni nadsłuchiwała turkotu oddalającego się powozu. Gdy przycichł zupełnie zerwała się szybko, przebiegła pokój i szarpnęła za dzwonek.

— „Oszaleję! poszepnęła — jeżeli dłużej pozostanę sama.

Nadszedł Bishopriggs kazała mu więc Arnolda poprosić.

W chwilę potem Arnold był już w pokoju.

— Odjechała? zapytał.

— Tak, nie mówiłam jej o niczem. Możesz pan być zupełnie spokojny, zresztą nie pytaj mnie o nic więcej!

— Nie myślę być tyle niedelikatnym — odrzekł Arnold, usiadł potem przy stole, wsparł ręką głowę i milczał. Anna przystąpiła bliżej, i rzekła ze współczuciem:

— Doświadczyłeś pan z winy mojej wielkiej przykrości. Wybacz, żałuję tego mocno, dlatego chciałabym pana z całego serca pocieszyć.

— Dziękuję, miss Silwester. Co prawda nie było to bardzo przyjemnie siedzieć ukrytym przed Bianką, lecz stało się czemże więc teraz mogę pani usłużyć?

— Cóż pan myślisz z sobą uczynić?

— Dopełnię obowiązku mojego względem Godfryda. Przyrzekłem ułatwić tu pani wszystko, pozostanę więc i dłużej i odjadę dopiero jutro zanim pan wstaniesz. Gdy spotykamy się kiedyś znowu, będzie to zapewne w chwili weselszej. Teraz pociesz się, będą myślały że pani choć w czemkolwiek jest pomocny.

Anna podała mu rękę, z uczuciem wdzięczności.

— Nie zobowiązałeś pan sobie niewiele? rzekła. Może dzień ten nadejdzie, w którym to potrafię.

— Miejmy jak najlepszą nadzieję! Bywaj zdrową i szczęśliwą!

Anna weszła do sypialni, Arnold zamknął i rzucił się na sofę.

Poranek zawitał jasny. Powietrze było świeże. Arnold wyjechał jak zapowiedział. Anna wstała. W całym zajęździe wiedziała, że ważny wezwał interes, a pani Inchbare została, że pokoje przez tydzień zajęte będą, wszystko ułożyło się spokojnie, ale czy Godfryd przyjdzie? Miało to zależeć od śmierci albo życia Halchester. Jeżeli bowiem wyzdrowieje, to będzie mógł przybyć i spełnić swoje zobowiązanie jeżeli zaś umrze, to jakaż mogłaby zajść sprawa do zaślubienia jej w Londynie? Czyż jednak Godfrydowi bez warunkowo zaufała?

Anna wyszła przed dom: chłodny wiejący wiatr i ciemny powiewał, chmurki białawe to ciemniejsze, raz po raz słońce przysłaniały. Smugi światła, żółtawe, rumiane przeciągały po brunatnej przestrzeni moczarów tak samo, jak nadzieja i trwoga naprzemiennie duszą Anny miotają.

Przechodząc w powrocie przez sień, spojrzęła na zegar: pociąg z Perthshire stanął już w Londynie! Godfryd był u ojca.

TRZECIA SCENA.

Londyn

XIV.

Służba Lorda Halchester oczekiwała przybycia pana Juljusza Delamayn ze Szkocji, a gdy obudwóch zobaczono braci, wszyscy zadziwili się niezmiernie.

— Jakżeż miewa się mój ojciec? zapytał Juljusz marszałka dworu, gdy Godfryd stał w milczeniu na stronie.

— Cieszę się bardzo, że mogę powiedzieć: lepiej. Doktorzy dziwią się niezmiernie polepszeniu nagłemu, i jeżeli tak potrwa przez czterdzieści ośm godzin, to milord niewątpliwie odzyska zdrowie.

— I cóż jest ojcu naszemu?

— Napad paralityczny. Gdy pani telegrafować kazala do Szkocji, lekarze żadnej już nie robili nadziei.

— Czy matka moja jest w domu?

— Ale dla pana tylko sir — odrzekł marszałek dworu z pryceiskiem.

Juljusz zwrócił się do brata. Polepszony stan zdrowia ojca czynił położenie Godfryda wielce kłopotliwym, bo miał zakaz odwiedzania domu rodziców. Tłomaczyło go wprawdzie niebezpieczeństwo choroby ojca, ale teraz potrzeba było znowu zastosować się do raz wydanego zakazu. Służba spoglądała to na marszałka, to na pana Godfryda, a marszałek to na jednego, to na drugiego z braci. Nawsta chwila cierpkiego milezenia: syn młodszy był tutaj przytecznym i można go było nawet z domu wypędzić, gdyby się ściśle do rozkazów chciano zastosować. Godfryd to zrozumiał i zadanie rozwiązał:

— Otwórzcie drzwi! zawołał — odjadę.

— Poczekaj chwilę! — odezwał się Juljusz. Byłoby to wielce przykrem dla matki naszej, gdybyś odjechał nie zobaczywszy jej. Chodź ze mną, odpowiem za wszystko.

— Wolę raczej uniknąć tego. Otwórzcie!

— To zaczekaj tutaj, dopóki nie przyślę po ciebie! prosi Juljusz. Biegnę zaraz.

— Ty przyślij do hotelu Nagla. Tam jest mieszkanie moje a nie tutaj...

Rozmowę przerwało głośne, halaśliwe szczekanie aksika który nadbiegł zwietrzywszy obcych. Lekarze zaczęli ciszę najzupełniejszą, więc służba poczęła uganiać się za nim, czem tylko drażniła go jeszcze bardziej. Godfryd uderzył naprzykrzonego psiaka nogą tak nielitościwie, że przewrócił się "odrazu skamlać żałośnie.

— Ach! to faworytek pani! zawołał przestraszony marszałek.

— Szczekał, więc uciszyłem go — odrzekł Godfryd i zwracając się do brata dodał: zdaje mi się jednak, że widzenia z matką odłożyć lepiej do innej jakiej sposobności. Wiesz gdzie mnie znaleźć, więc przychodź na objad, poznasz doskonałość Nagla że aż się zadziwisz.

Rosły lokaj patrzył się za odchodzącym Godfrydem z niekłamanem poszanowaniem. Odźwierny pokłonił się nisko. Podziwiali go bowiem nieraz w *Christian-Pugilistik Association* i byli przekonani, że mógłby najwyższego i najmocniejszego z nich zgnieść w przeciągu trzech minut. Zdołał przeto sobie powszechne poszanowanie, gdy Juljusz nie budzący żadnego podobnego zajęcia, zwolna po schodach wchodził.

Działo się to w Sierpniu, ulice były puste, wiatr

powiewał gorący, poczuł go i Godfryd jadąc do hotelu, nasadził zatem głębiej kapelusz, zapiął surdut, zapalił fajeczkę i puszczać kłęby dymu mrucał coś gniewnie przez zęby. Czyliż to wiatr palący tę mrukiwość jego wywołał, czy też jaki niepokój wewnętrzny, gorszy od najprzenikliwszego podmuchu? Niepokój raczej tajony w duszy, nazwany: Anna.

Cóż bowiem w obecnym stanie rzeczy miał począć z tą nieszczęśliwą kobietą, która tam w szkockiej karczmie, czekała na niego?

Pisać do niej albo nie pisać? Oto było pytanie głównie teraz Godfryda zajmujące.

Pierwszą trudność w przesłaniu listu Anna usunęła sama, nadając sobie nazwisko *mistress Silvester*. Druga trudność jednakże ważniejszą była, bo nie wiedział, czyli donieść Annie, że po czterdziestu ośmiu godzinach lekarze wyrzeką dopiero stanowczo o stanie zdrowia ojca, czyli też czas ten przeczekać i nie jej o tem nie donosić? W końcu uznał jednak, że lepiej będzie zawiadomić ją o tem co zaszło.

Przybwszy do hotelu, zasiadł zaraz i pisać zaczął. Ale nie kleiło mu się jakoś: to kreślił, to darł papier, pisał znowu i znowu darł raz drugi i trzeci. Wreszcie na równe zerwał się nogi i uznał w wyrazach których powtórzyć niepodobna, że sam nie umie osądzić co było lepszem, a co gorszem?

Wśród tych moralnych udręczeń, uczuł instynktowo fizyczną potrzebę ulgi.

— Pójdę się wykapać! — wyrzekł — bo dusza moja nurza się jakoby w mule.

Jak pomyślał tak i zrobił. Wziął kąpiel ze wszelkimi zmianami: parową, zimną, kroplistą, bijącą jakoby wodospadem, i odświeżony, rzeświejszy powrócił do hotelu. Ale gdy przyszło list napisać, znowu go ta sama ogarnęła wątpliwość.

— Ta piekielna kobieta zgubi mnie, bo czuję że oszaleję — szepnął: „Pójdę jeszcze roztrzeźwić siły kulami!”

Udał się zatem do publicznego w tym rodzaju zakładu, by umysłeniwy pokrzepić wyteżonym sił ruchem. Kazał sobie dać pokój osobny i najcieńsze kule jakie były do użycia.

Zrzucił suknie, zawiązał rękawy od koszuli i oddał się gimnastycznemu ćwiczeniu z największym zapalem i zręcznością, za co zyskał głośny oklask właściciela zakładu i jego synów.

— Papieru, atramentu, pióra! zawołał po długiej chwili mocowania się z kulami — duszę otrzeźwiłem więc teraz zdolny będę do pisania.

Przyniesiono czego żądał. Usiadł i napisał, ale kiedy już miał odesłać na pocztę, dawna go znowu owładnęła wątpliwość i podarł list z gniewem.

— Oszalałem chyba! zawołał. Do stu piorunów! Do tysiąca szatanów! Poślijcie po Crouch'a!

Crouch, był to słynny zapaśnik, *bokser* znany dobrze pomiędzy całą młodzieżą angielską.

Przyzwany nadszedł niebawem z całym przyrządem i rękawicami, jako środek trzeci do rozbudzenia ducha i wskrzeszenia umysłu szanownego Godfryda.

Obadwa wciągnęli rękawice, stanęli naprzeciw siebie w klasycznej postawie i spojrzeli sobie w oczy. Rozpoczęło się boksowanie..... furezały pięści, sypały się razy, skoki, natarcia, aż wreszcie Godfryd zawołał:

— Dziękuję, Crouch! oddycham, teraz lżej mi i swobodniej! potrzasał przytem głową, wychylił spory kielich likworu i odzyskał wreszcie swój dawny zwykły humor.

— Czy podać panu teraz papier i pióro? zapytał gospodarz.

— Nie! odrzekł — zrzuciłem mął z siebie. Niechaj wszelkie pismo sto djabłów pochłonie! Poszu-

\*) *Dumb-bells* — wyrzucanie kul, dla nadania gibkości członkom.

kam sobie towarzyszy naszych do gry. I w różowym humorze wybiegł z zakładu.

— Pisać do Anny? myślał sobie, po co i na co? Któżby tyle był głupim, skoro go do tego nikt nie przymusza? Lepiej poczekać czterdzieści ośm godzin, a potem napisać do niej lub też porzucić ostatecznie. Godfryd dzięki Crouch'owi, miał wyborny humor przy objedzie wśród tak zwanych *naszych*, a potem wieczorem i przy grze *hazardowej*.

XV.

Czterdzieści ośm godzin przeminęło, a bracia przez ten czas nie widzieli się z sobą. Juljusz, nieopuszczający rodzicielskiego domu wcale, przesyłał Godfrydowi wiadomość o stanie zdrowia ojca do hotelu. Pierwszy buletyn zawierał wyrazy: jest lepiej, lekarze zadowoleni. Drugi: "postęp wyborny, lekarze się cieszą., Trzeci: "za godzinę zobaczą ojca., doktorzy ręczą że odzyska zdrowie. Będę się starał za tobą przemówić, czekaj więc na rychłą wiadomość.

Godfryd spochmurzał, przeczytawszy buletyn ostateczny, i zawołał znowu o przedmioty piśmienne, gdyż potrzeba już teraz było koniecznie napisać do Anny. Wyzdrowienie ojca popchnęło go w to samo krytyczne położenie, w jakim w Windygates zostawał: Lękał się ostatecznej rozpaczony Anny, i własnej zguby w obec ojca i widoków swoich na przyszłość. Tyle przynajmniej zrozumiał i pojął, list zatem następujący przygotował:

„Droga Anno! Tylko co dowiedziałem się, że ojciec mój wybrnął z niebezpieczeństwa. Pozostań gdzie jesteś. Napiszę znowu.“

Wyprawiwszy tę lakoniczną korespondencję na pocztę. Zapalił fajeczkę i czekał wypadku rozmowy brata z ojcem.

Juljusz znalazł ojca zmienionym bardzo, lecz przy zupełnie zdrowych zmysłach. Niezdolny odwrócić się bez pomocy ani nawet rękę syna uściśnąć, oko starego prawnika przechowało wszelako dawne bystre spojrzenie, a umysł jego był tak trzeźwym, jak zwykle. Wszystkie jego życzenia zmierzały obecnie do tego, by Juljusz wszedł do parlamentu, — po pierwszym też zaraz powitanium, z zajęciem i ożywieniem o publicznych sprawach mówić począł. Juljusz zrobił mu uwagę, że jeszcze zbyt jest słabym by o interesach mógł myśleć.

— Nie, nie — odrzekł — czuję się zdrowym na duchu i potrzebuję zajęcia. Ludzi takich, jak ja, niełatwo coś złamać potrafi... Nie wejdiesz teraz do Izby parów, ale zostaniesz obranym do Izby niższej i czego sobie szczególnieś żyję... Myśli moje jakoś dziwnie sięgają w przeszłość, o której raczej zapomnieć bym wołał. Sino-blade oblicze chorego zadrgnęło nerwowo, spojrzął się badawczo w twarz syna a potem zapytał nagle. Czy nie słyszałeś kiedy o kobiecie zowiącej się Anna Silvester?

— Nie — odrzekł Juljusz.

Zona jego odwiedzała czasami lady Lundie, byli nawet zaproszeni na ową patję *croquet'u*, lecz nie przybyli jak to już wiemy. Słyszeli o miss Bianche Lundie ale nie wiedzieli o innych domownikach w Windygates. Anna zatem Juljuszowi była zupełnie nieznaną.

— Zapisz sobie to nazwisko — mówił dalej Lord Halchester: Anna Silvester. Rodzice jej umarli oboje znałem kiedyś jej ojca. Matkę opuszczoną niegodnie, przypominałem sobie po latach wielu po raz pierwszy. Jeżeli żyje i bywa w świecie, to sobie zapewne nazwisko nasze przypomni. Gdyby kiedy zgłosiła się do ciebie, to jej dopomóż. Rysy jego zadrgnęły znowu. Czyliż myśl przedstawiła mu ów

pamiętny wieczór w Hampstead? Czyliż sobie uprzytomnił biedną, opuszczoną kobietę, która u stóp jego zemdlała?

— Ależ ten twój wybór do izby — zagadał znowu. Umysł mój musi być czynnym, dajżeż mi dla niego zajęcie.

Juljusz opowiedział jak pod tym względem rzeczy stoją. Chory pochwycił wszystko a gniewał się na żonę, że syna do Londynu przyzwala i to w chwili gdy na wyborców powinien był działać.

— Nie potrzebnie wyjechałeś, niepotrzebnie! powtórzył. Matka niepowinna była tego żądać.

Upredziwszy matkę, że pierwszą pochwyty sposobność by do ojca za Godfrydem przemówić. Juljusz korzystał z chwili, i rzekł:

— Przyjazd nasz był koniecznym mój ojcze tak dla mnie, jak i dla Godfryda. Byliśmy obadwaj niespokojni bardzo... Godfryd przybył ze mną także do Londynu.

Lord Halchester spojrział na niego z bolesnym zdziwieniem.

— Czyliż nie mówiłem ci, że umysł mój jest zdrowym mimo przebytej choroby? Godfryd miał być niespokojnym o mnie? Obawa jest uczuciem ludzi cywilizowanych, zostający w stanie dzikości tak jak on, niezdolni są do wrażeń podobnych.

— Godfryd nie jest dzikim, mój ojcze.

— Żołądek jego zawsze jest pełen a ciało pokrywa płótno i sukno pod którymi nie ma duszy. W ubiorze brat twój jest cywilizowanym, ale pod innym względem dzikim.

— Rozumiem mój ojcze, o czem mówisz. Jest to jego tryb życia, ćwiczyć się w sile i odwadze. A jedno i drugie są przymiotami piękniemi.

— Doskonałemi niekiedy! Ale z nimi nie zajdzie daleko. Żądaj by jakie zdanie porządnie po angielsku napisał, a z pewnością zabraknie mu do tego odwagi. Daj mu stosowną książkę do przeczytania, a jakkolwiek silny fizycznie, na widok jej zrobi mu się słabo niezawodnie. Chcesz, bym go w dom przyjął? Ale nie mnie do tego nie skłoni, dopóki dzisiejszego trybu życia nie zmieni. „Mam jedną tylko pod tym względem nadzieję, to jest: że kobieta miła, tkliwa, dobrze wychowana, wyższego urodzenia i majątna, potrafiłaby zbawiennie wpłynąć na niego. Jeżeli zatem chce pod dach mój powrócić, niechaj wejdzie w dobre towarzystwa i da nam synową, którąby przemówiła za nim, którąbyśmy przyjąć i szanować mogli. Dopóki to nie nastąpi, nie wspominaj mi o nim. A teraz pomówmy znowu o tobie. Popraw mi poduszkę. Lepiej mi będzie, mając głowę wyżej.

Juljusz poduszki poprawił i zamilkł, bo próżną byłoby rzeczą dalej o tym mówić przedmiocie. Wyrwany z objęć śmierci, chory, blady jak trup leżał odychając słabo, lecz z całą dawniejszą siłą ducha. Czynił różne uwagi, dawał nauki, aż wreszcie wysiłony ostatecznie, przymknął ociężałe powieki i kazał sobie jakiś podać posiłek.

— Tak, tak — wyszeptał jeszcze — jest to wielki zawód mój Juljusz, i brak mi na zawsze tej izby gminnej.

Po chwili Juljusz pożegnał drzemającego ojca, i poszedł do matki.

— Jakże? Czy mówiłeś z ojcem o Godfrydzie? były pierwsze słowa lady Halchester.

— Ojciec stawia mu ostatni warunek, oby tylko Godfryd chciał go spełnić.

— O! westchnęła ze smutkiem — znam ten warunek: chce, by on jakiej właściwej oddał się nauce. Więc nie ma nadziei mój drogi! Gdybym mogła... gdybym w stanie była dopomódz!

— Będziesz matko mogła dopomódz. Bo ojcze,

czy uwierzyć zechcesz kochana matko, kładzie warunek, by się ożenił.

— Być że to może?

Juljusz powtórzył wyrazy ojca, a lady Halchester wystuchawszy go z wielką radością, zadzwoniła na lokaja.

— Dla nikogo nie jestem w domu, rzekła do wchodzącego, potem przysunęła Juljusza ku sobie na kanapę, pogłaskała po twarzy i pocałowała w czoło.

— Godfryd spełni ten warunek — wymówiła wesoło — ręczę za to. Mam aż trzy panienki z których każda byłaby dlań stosowną żoną. Pomówmy, obszerniej rozberzmy tę kwestję, która z nich wymaganiem ojca najlepiej odpowiedzieć potrafi. Potem sam pójdziesz do Godfryda i powiesz mu wszystko.

Matka i syn radzili, układali, rozważali i w niewinności ducha siali ziarno, które miało plon straszny wydać.

## XVI.

Skończyła się narada: wybór przyszłej małżonki Godfryda nastąpił. Kiedy Juljusz powstał ażeby pójść do hotelu, rzekła lady Halchester:

— Ale pamiętaj Juljusz, póty nie odejść od Godfryda, dopóki ci uroczyste nie przyrzecze, że wypełni to czego od niego wymagamy.

— Bądź spokojną moja matko, odrzekł Juljusz, projekt cały jest tak dobrze obmyślany, że jeżeli Godfryd nie podskoczy z radości gdy mu powiem o wszystkim, zgodzę się z ojcem, że z nim nie ma już rady i opuszczę go także.

Nigdy dwóch ludzi większej nie przedstawiało różnicy jak ci dwaj bracia rodzeni. Juljusz ów wynarodowiony Bretończyk chętnie oddawał się naukom, i lacińszczyzną i najcudniejszą przetrwał książkę, aniżeli kufel piwa choćby najwyborniejszego. Nauczył się wprawdzie obcych języków, ale nie posiadał umiejętności kierowania wiosłem. Lubił muzykę i sam ją w wysokim posiadał stopniu, ale nie umiał na pierwszy rzut oka wykryć wszystkich zalet pięknego konia. Śmiało przytem otwarcie w towarzystwie Anglików sztych z ich twierdzenia: że naszczekiwanie psów gończych jest dźwięczniejszem od melodji choćby najpiękniejszych arcydzieł. Trawił nadto życie bez zakładów, bez sportu a będąc za granicą, nie rwał się do zaszczytu przyjętego przez współrodaków, wdrapywania się na szczyt góry niedostępnej dotąd dla innych podróżników. Ludzie takiego usposobienia należą według mniemania większości, do ras upośledzonych stałego lądu, ale dzięki Bogu w Anglii wyjątkami są tylko!

Przybywszy do hotelu Nagla, Juljusz wszedł na salę a nie widząc nikogo ze służby, zapytał pięknej i strojnej pani siedzącej za kratą o pana Delamayn. Piękna pani wszelako zatopiona w jakimś dzienniku nie słyszała wcale zapytania, udał się zatem do przyległego pokoju gdzie kawę podają.

Posługacz siedział w kącie, zaczytany również w dzienniku. Trzech panów, każdy przy osobnym stoliku, zatopieni także byli w pięciu dziennikach rozmiarów ogromnych i nikt na niego nie zważał. Juljusz przerwał posługaczowi głośnym zapytaniem o pana Delamayn. Posłyszawszy to imię znakomite, posługacz odrazu na równe zerwał się nogi.

— Czy pan jesteś bratem pana Delamayn, Sir? zapytał.

— Tak.

Trzej panowie nagle spojrzeli, blask sławy Godfryda przeszedł na brata jego i nadał mu także znaczenie publiczne.

Pan Godfryd znajduje się obecnie w restauracji *Cock and Bottle Putnej* — odrzekł posługacz.

— Miał tutaj na mnie poczekać.

— Czy pan nie wie? zapytał ze zdziwieniem posługacz i rozwarł szeroko oczy.

— Cóż takiego?

— Sam pan przeczytaj a osądzisz... i podał mu trzy dzienniki.

— Co to jest?

— To jest rzecz okropna, nieprzewidziana, jaka kiedykolwiek nastąpić mogła. Wyścigi piesze w Tulham przypadły: Finkler nogi stracił!

Trzej czytający panowie uroczyste pochyliłi głowy i wyrzekli jednodźwięcznie: Finkler nogi stracił.

Ten który nie pojmuje wielkiej niedoli publicznej, umilknąć powinien dopóki całej nie zrozumie sprawy. Juljusz zatem podjął jeden z dzienników ażeby się dowiedzieć, czy Finkler był człowiekiem, czy koniem, czy jakimś innym stworzeniem, i co znaczy wyrażenie, że stracił nogi?

Wiadomość tak ważną a przynajmniej w tej chwili wielce dla Juljusza przydatną, łatwo było znaleźć w dziennikach, bo była wielkimi wydrukowana głóskami. *Betting book* \*) dziennikarstwo szanuje jak narodową relikwię i szpalty swych pism chętnie oddaje mu na usługi, chyli przed nim głowy, ale w ciszy ducha śmieje się skrycie i szepece milczkiem: Angljo! jakżeś głupia i barbarzyńska!

Finkler był najpierwszym szybkobiegaczem i przedmiotem przeliczonych zakładów niemałej wagi. Jeden tylko człowiek mógł go zastąpić, i Juljusz z przerażeniem przeczytał imię: Godfryd Delamayn. Czy jednak zechce zrobić to z siebie poświęcenie, tę ofiarę tak godną nieśmiertelnej sławy Anglji? Artykuł kończył się wielkim znakiem zapytania i trzema równie wielkimi wykrzyknikami, które niby sztandary żałoby, miały wyrażać boleść i rozpacz całego narodu.

Głęboka cisza panowała wokoło. Juljusz trzymając dziennik przed sobą dumał, posługacz trzymał w ręku betting-book i ołówkę. Z trzech zaś panów każdy także zajęty był betting-book'em i bolesnym dumaniem nad straszną chmurą, co groziła wszystkim piorunem nieszczęścia.

Wreszcie Juljusz powstał by odejść.

— Przemów pan do brata, sir! odezwał się pierwszy posługacz składając błagalnie ręce...

— Staraj się przekonać go, zawołał chórem trzej panowie, gdy już wychodził z pokoju, że powinien być gotów do tej ofiary.

Juljusz skłaniając głowę w milezeniu, wyszedł na ulicę, zawołał fjakra i kazał się zawieźć do *Cook and Bottle Putnej*.

Im więcej zbliżał się do zamierzonego celu, tem bardziej zwiększał się tłum ludu wokoło, i wszyscy różnemi głosami i z wielkim wzruszeniem powtarzali imię Finklera, przerażeni, czyli go ktoś zastąpić zechce. Przed restauracją była ciżba prawie nieprzebyta, gwar, hałas, tartas, tłum jednak uliczny zachowywał się w obec tej wielkiej klęski narodowej milcząco i ze spokojem godnym podziwu.

\*) Książka w której zapisują zakłady.

N. 1. Kołnierzyk z podwójnym wykładem i mankieta-  
tami odpowiedniami.

Do paska płótna 56 cent. długiego a 2 i pół szerokie-  
go, przyszywa się podwójne, jeden na drugi zachodzące  
wersy, których proste brzegi powinny mieć u dołu 8,  
z boków 9 cent.  
Tylko niższy ran-  
wers i pasek oszy-  
wa się 2 i pół do  
3 centimetrów szeroko-



N. 1. Kołnierzyk z podwójnym wykładem i mankieta-  
tami odpowiedniami.

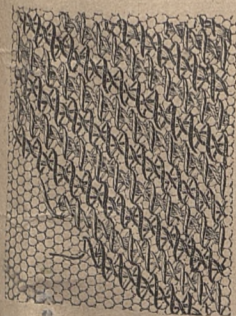
ka koronka, górny zaś ostębnowywa. Wycięte  
zab mankiety kładą się z wierzchu na rękaw  
obcisły, do szerokich rękawów pod spód. Ręcznie  
płótna koronka irlandzka, lub z frywolitek, stano-  
wicie dobre strojne oszycie. Kokarda z końcami,  
z czarnego aksamitu, oszyta koronką łączy koł-  
nierzyk.

N. 2. Kołnierzyk i mankiety szydełkowe naślado-  
ujące koronkę irlandzką.

Materiał: bawełna szydełkowa N. 200.

Strócenia: o. śc. — oczko ścisłe; śl. słupek, o. pow.  
oczko powietrzne; p. — pikot, który stanowią 5 o. pow.  
przerobionych jednym o.  
śc. Kołnierzyk odpowie-  
dni do podłużnego wy-  
kroju stanika, dopasować  
można podług formy ma-  
rynatki, przez dodanie  
mniej lub więcej długich  
i otwartych końców.

W tym celu wycina  
się ze sztywnego musli-  
nu, zupełnie do wykroju suk-  
ni zastosowany kołnie-  
rzyk, kwiaty i liście szy-



N. 7. Wzór wyszycia na  
do koszyczka N. 4.

owe odrabiają i się każ-  
le osobno, a następnie  
zarabia tło podług formy.  
Naczołnik tego kołnierzy-  
ka, podaje w naturalnej  
wielkości N. 27.

Kwiatki czyli gwiazd-  
ki, w których lewa strona



N. 4. Koszyczek do robót. Wywodzenie na tiulu.  
Zobacz ryc. 5 i 6.

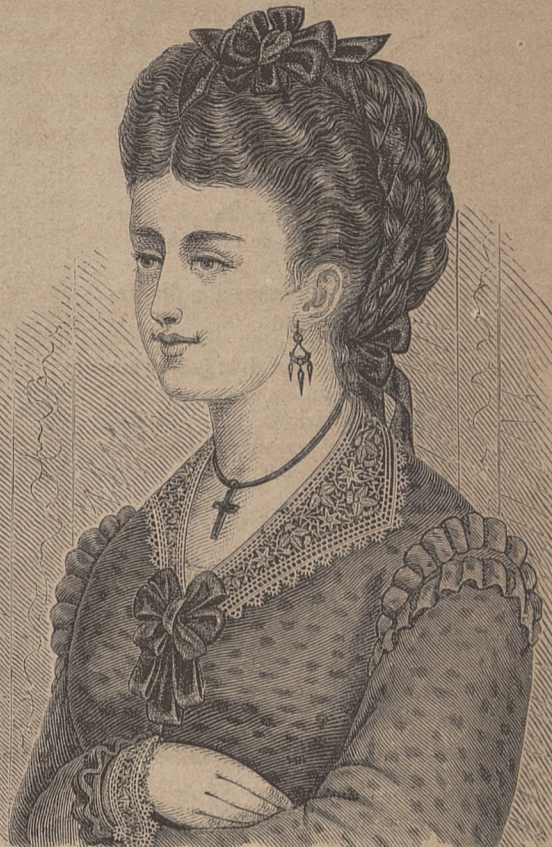


N. 3. Pelerynka chusteczkowa z długimi rękawami.



N. 7 — 8. Suknie przybrane aksamitem.

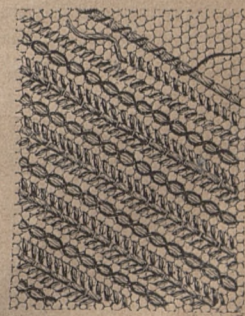
roboty, stanowi prawą stronę kołnierzyka, zaczynają się  
od 8 o. pow. złączonych w kółko i obrobionych 8 śl. od-  
dzielanemi między sobą 2 o. pow., za temi idzie w okrąg  
40 ścisłe obrobionych śl., a nakoniec 7 listków, każdy  
z 16 śl. branych w 1 o., a w trzecie ścisłem o. przyra-  
bianych.



N. 2. Kołnierzyk i mankiety szydełkowe naślado-  
ujące koronkę irlandzką. Zobacz ryc. 27.

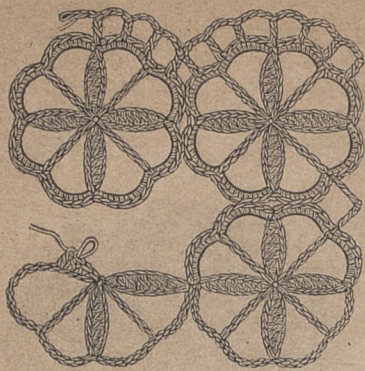
Liście składają się z trzech części, zaczynających  
się od środka a łączących z sobą z boku. Każda  
z tych części zaczyna się od 16 o. pow. obrobio-  
nych oczkami ścisłymi, poczem obrabia się o: śc. 3  
razy tam i napowrót, zaczynają każdy podwójny  
rzęd o 3 oczka niżej od góry, przybierając na  
zaokrągleniu u dołu, zaś dla otrzymania listków  
karbowanych, potrzeba zajmować za dolne nitki  
łańcuszka. Łącząc z listkami odrabia się dopeł-  
niające je matowe ząbki, z których każdy liczy 11  
śl. zarzuconych na 11 o. pow., zakończonych rzę-  
dem z 6 śl. przedzielanych 2 o. powietrznymi.  
Tło koronkowe zarabia się łańcuszkiem z pikotami,  
poczem kołnierzyk obrabia się do koła 3 razy słu-  
pkami, przedzielanemi 2 o. pow.

i dodaje ząbki robione nastę-  
pnym sposobem. Na przestrze-  
ni 5 krzateczek ostatniego rzędu,  
obrobić 21 o. śc., poczem, za-  
wracając do ręki prawej, na 15  
o. śc. 2 ząbki, każdy z 8 o. pow.  
i znowu zwracając ku ręce le-  
wej, zarzucić na ostatnim ząb-  
ku 5 o. śc. przedzielonych 2 p.  
ząbek pow. z 8 o: pow. i 2 p.  
znowu 5 o: śc. z 2 p. w drugi



N. 6. Wzór wyszycia na  
tiulu do koszyczka N. 4.

ząbek poprzedniego rzędu.  
Posuwając dalej robotę,  
pozostawia się zawsze pomię-  
dzy ząbkami przedział,  
z 6 o. ścisłe obrbionych.



N. 14. Gwiazdy szydełkowe do paska na przytrzymanie firanek do ryc. 15.

N. 3. Pelerynka chusteczkowa z długimi rękawami.

Garnitur ten odrobiony z tiulu jedwabnego lub do prania, używa się do stanika wyciętego i krótkich rękawków, długie cokolwiek fałdowane rękawy przyszyć można do ramienia albo do krótkich bułowanych rękawków. Gładki tiulowy kołnierzyk z tyłu w spiczasty ząb zakończony, na ramionach ścięty jak rysunek wskazuje, osztyt jest z brzegu garnirunkiem, ułożonym w kontrafałdy z tiulu 4 cent. szerokiego. Każda kontrafałda w równych odstępach układać, powinna mieć 2 cent. szerokości i być nieznacznie wzdłuż zaszytą ze spodu, z wierzchu zaś paru ścięgami zepiętą w ten sposób jedna z druga, ażeby tworzyły wskazane na rysunku owale. Tiulowa falbaneczka 1 1/2 cent. szeroka, czarna aksamitką przyszyta, zakończy brzegi plisowania. Dwie także falbaneczki z tiulu lub koronki, brzegami



N. 15. Pas do przytrzymania firanek z gwiazd szydełkowych. Patrz N. 14.

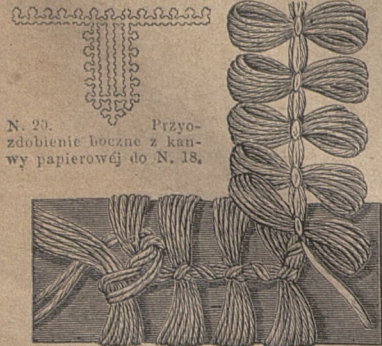
rękawach dokładnie wskazuje rysunek.

N. 4. Koszyczek do robót. Wywodzenie na tiulu.

Materiał: cienka tektura, tiul brukselski, jedwab biały i czarny, czarna aksamitka, wstawka z jedwabnej koronki, najwyżej 1 cent. szeroka, atlas lub materja kolorowa, wstążka w atlasie.



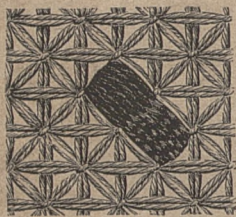
N. 21. Nóż do wycinania kanwy papierowej do robót wypukłych jak ryc. 18.



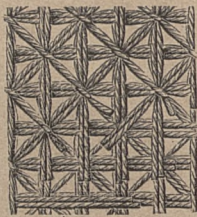
N. 22. Szlaczek wiązany w pętelki do szalików, kapturków i t. d. Robota na linijce.



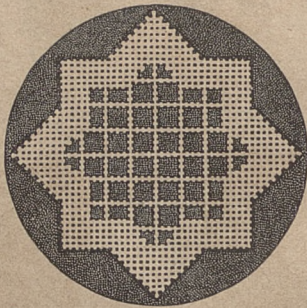
N. 9. Imitacja koronki. Haft na tiulu.



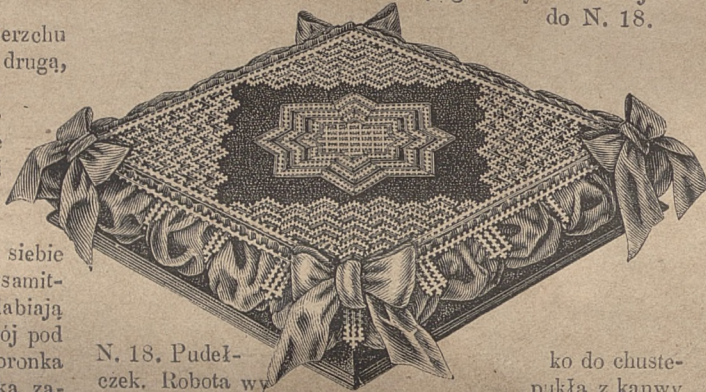
N. 11. Tło do paletocika dzieciniego N. 40. Strona prawa.



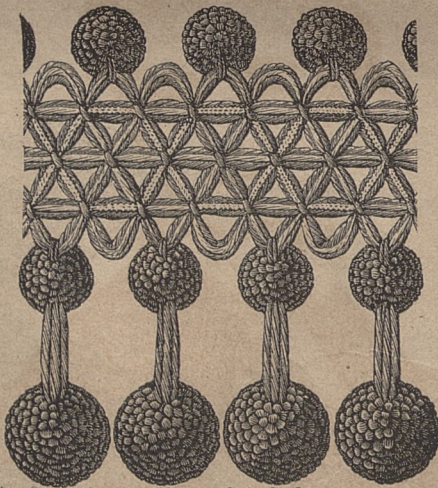
N. 12. Tło do paletocika N. 40. Robota w ramach. Strona lewa.



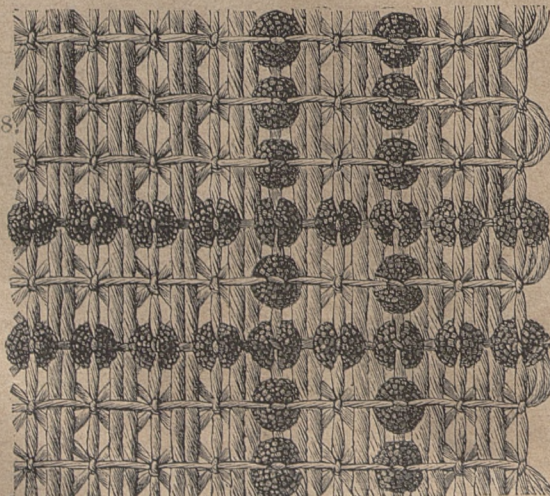
N. 19. Trzeci rząd gwiazdy środkowej do N. 18.



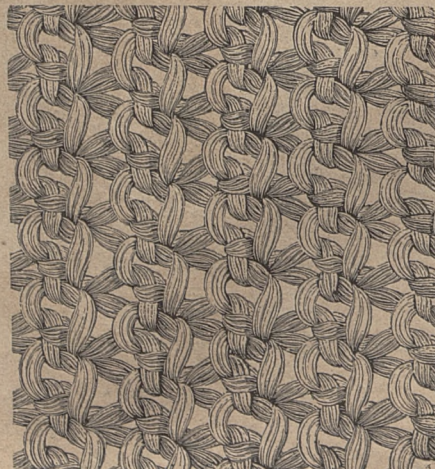
N. 18. Pudełeczko do chusteczek. Robota w papierowej. Patrz N. 19, 20, 21 i N. 21 w Tyg. Mód N. 9.



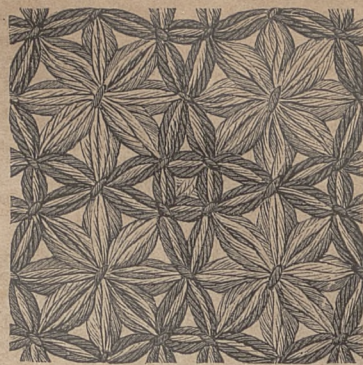
N. 24. Oszycie do pelerynek, kaftaników, płaszczyków itp. Robota w ramach.



N. 25. Tło do roboty szalika. Robota w ramach do ryc. 13 w Tyg. Mód N. 9.



N. 26. Ścieg na drutach, do szalików kapturków i t. d.



N. 10. Tło. Robota w ramach. Do pelerynek, szalików i t. p. Strona wierzchnia do ryciny 35.

Podstawę koszyczka stanowi forma z tektury, z obu stron pokryta kolorowym atlasem lub materją. Składa się ona z okrągłego denka 10 cent. średnicy i paska 4 cent. wysokiego a 32 długiego, który przyszyty do denka stanowi boki.

Wierzchnią stroną koszyczka, w atlasie kolorowym pokrywa tiul, wyszyty podług wzoru N. 5 jedwabiem białym i czarnym lub włóczką białą i jedwabiem czarnym, podług N. 6. Pod góstem wywo-

N. 13. Oszycie do paletocika dzieciniego, tło tiulowe N. 40. Robota w ramach. knie zupełnie, a robota nasładowuje delikatną, włosianną tkaninę. Następnie 11 pasków tektury 1 cent. szerokie, 7 i pół wysokich, przytwierdza się w równych odstępach w około dna i górnego brzegu koszyczka. Tę na kształt klamer, wypukło odstające paski, pokrywa się czarną aksamitką a na wierzch jedwabną wstawką; tak jak aksamitka i wstawka we dwoje złożona, przykrywa u dołu i góry brzeg i górną część koszyczka. Wewnętrzny szew zasłania wążniczny pasek tektury owiniętej atlasem. Pałeczki stanowią dwa

paski tektury 1 cent. szerokie, 20 cent. długie, złożone razem, pokryte od spodu kolorowym atlasem z wierzchu aksamitką i wstawką. Kokardy ze wstążki atlasowej przytwierdzają pałeczki do koszyczka.

N. 7 — 8. Suknie przybrane aksamitem. Wszelkie przystrojenia aksamitne ciągle ogólnej doznają wziętości. Na wzorze pod N. 7 podany duży kołnierzyk, z tyłu w ząb zakończony z przodu do paska sięgający, dogodnie użyty być może przy prze-rabianiu lub odświeżaniu sukni, do pokrycia zmian w kroju. Kołnierzyk taki bywa cały aksamitny. osztyt koronką.



N. 16. Pas do firanek ze sznurka i kwiatów szydełkowych. Zobacz ryc. 17.

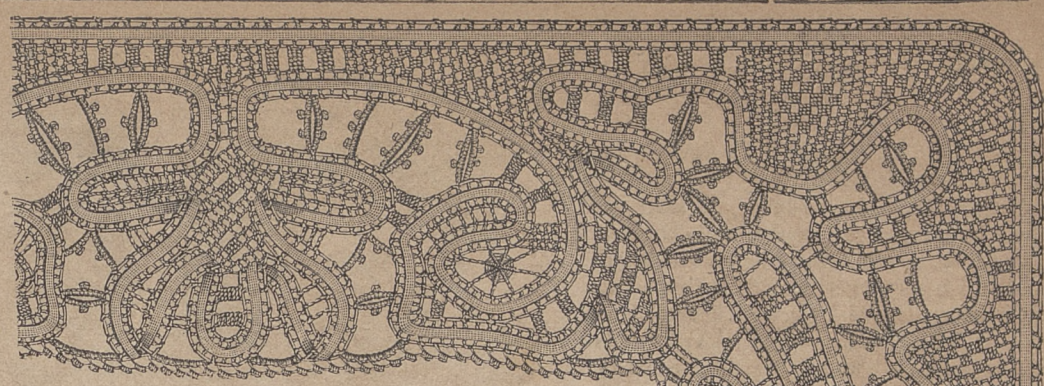
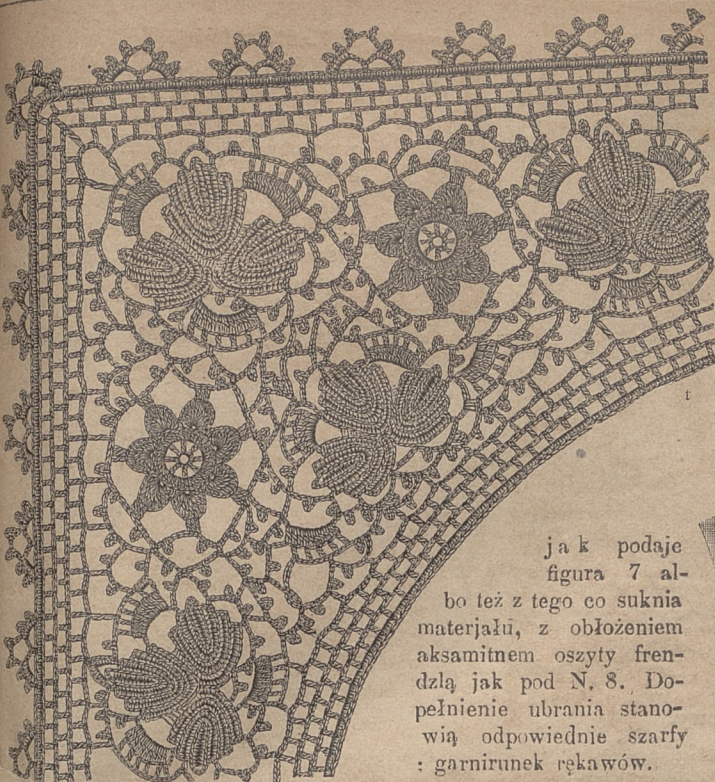
N. 7 — 8. Suknie przybrane aksamitem.

Wszelkie przystrojenia aksamitne ciągle ogólnej doznają wziętości. Na wzorze pod N. 7 podany duży kołnierzyk, z tyłu w ząb zakończony z przodu do paska sięgający, dogodnie użyty być może przy prze-rabianiu lub odświeżaniu sukni, do pokrycia zmian w kroju. Kołnierzyk taki bywa cały aksamitny. osztyt koronką.



N. 17. Liść szydełkowy do N. 16.

N. 23. Szlaczek wiązany w półkola, do szalików itd. Robota na waleczku.



jak podaje figura 7 albo też z tego co suknia materiału, z obłożeniem aksamitnem osztyfrendzłą jak pod N. 8. Dopelnienie ubrania stanowią odpowiednie szarfę: garnirunek rękawów.



N. 31. Kołnierzyk z ranwerssem.

\* 8 o. pow. które stanowią i a podstawę jednego z czterech, środkowych listków, a ostatnie z nich służy zarazem do zaczynania następnych długich słupków i listków i oznacza środek rozety. W te o. pow. zajmuje się 1 o. śc. 6 sł. 1 o. śc. potem 6 o. pow. na drugi ząbek, co 3 razy powtórzyć od \* Poczem

Róg kołnierzyka szydełko-imitacja koronki do ryc. 2.

N. 9 Imitacja koronki.

Haft na tiulu.

Materiał: Piękny tiul jedwabny; krepa biała; cienki jedwab, cieniutka jedwabna koronka.

Przy małej stosunkowo pracy można mieć okazałą koronkę, do przybrania sukni, kołnierzyka i t. d. Na ten cel na tle z jedwabnego tiulu daje się aplikacja z pięknej krepy, obrabiając deseni cienkim jedwabiem, ścięciem łańcuszkowym i wycinając ostrożnie krepe do pokrywającą; z brzegu wrabia się koronkę jedwabną.

Do chusteczkowego kołnierzyka, podanego dziś pod N. 3 jeżeli tenże będzie z tiulu brukselskiego do prania, aplikacja musi być z batystu lub muslinu, a zamiast koronki zęby także z aplikacją, zakończone fabrycznymi ząbeczkami zastępującymi pikoty.

N. 14—17. Dwa rodzaje pasów do przytrzymania firanek.

Materiał: Estramadura N. 10.

N. 14 i 15. Wiązanie z gwiazd szydełkowych. Podane pod N. 14 gwiazdy, oprócz wskazanego użytku, służyć jeszcze mogą jako środek do wstawek, ozdoby do bielizny i t. p. Każdą rozetę zaczyna się od



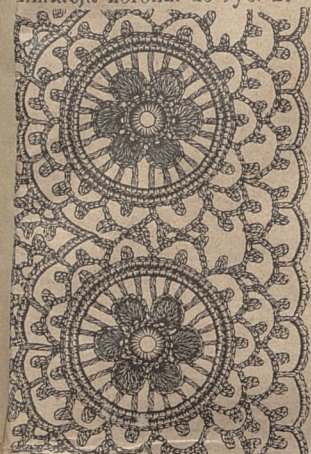
N. 33—34. Dwa rękawki z irlandzką koronką, point-lacé.



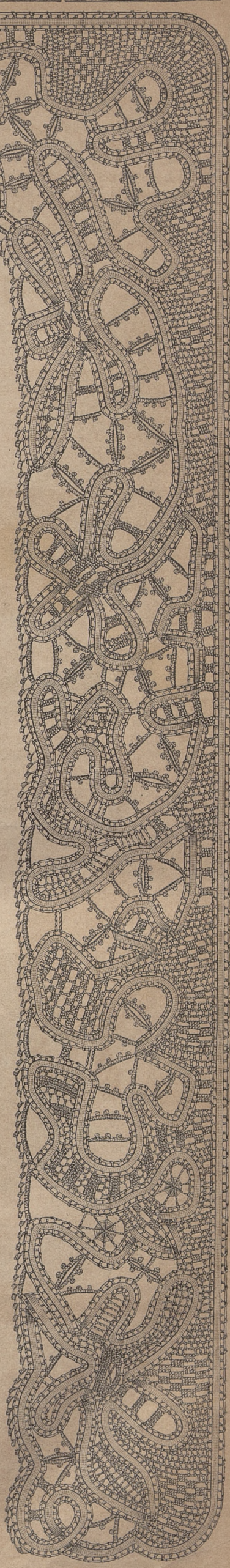
N. 32. Mankiet do kołnierzyka N. 31.

połowę rozety przerobić oczkami śc. i przeprowadzić nitkę do rozety następnej, jak to wżer wskazuje. Dalsze obrabianie dokończa się, gdy odrobimy 13 rozet, stanowiących rząd 1-szy. Robiąc rząd 2-gi, trzeba 4 początkowe obu końców rozety, złą-

czyć z rozetami rzędu poprzedniego, 5 zaś środkowych zostawić luźno, gdyż pomiędzy nie wrabia się gwiazda środkowa, złożona z długich listków. Najkrótszy z tych listków, zaczyna się 12 o. pow., w które robi się 1 o. śc. 10 sł. 1 o. śc., drugi 18, trzeci 24, czwarty 30, poczem następujące trzy listki w tym samym stosunku zmniejszać trzeba i nakoniec odrobić tak samo drugą połowę gwiazdki. Brzeg do koła obrabia się rzędem sł. i o. pow., dodaje na końcach петельki do przypinania i przyczepia na środku 3 kwasty.



N. 29. Koronka szydełkowa.



N. 35. Pelerynka włóczkowa. Robota w ramach. Patrz N. 10.

N. 28. Szlak koronkowy z kwadratowym zagięciem do szmizetek, sukien i t. p.

Koronkowa wstawka point-lacé.

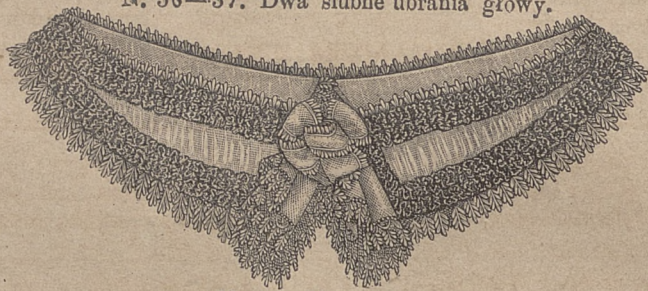
N. 16—17. Wiązanie ze sznurka i liści szydełkowych.

Materiał: biały bawełniany sznurek, bawełna kręta N. 24.

Szydełkiem odpowiedniej grubości, robi się z bawełnianego sznurka około 25 cent. łańcuszka, potem rząd sł. przedzielanych u dołu i u góry 2 oczkami. Pętelle na każdym końcu stanowi 10 o. pow. brzegi obrabia się ścięciem dzierganym, jak to uwidoczni rysunek. Kwiat wypukły, zdobiący środek wiązania, składa się z pojedynczych



N. 36—37. Dwa ślubne ubrania głowy.



N. 38. Okrągła berta.



N. 39. Paletocik włóczkowy dla dzieci z tłem gładkiem i oszyciem z kulek.

liści przedstawionych w naturalnej wielkości pod N. 17. Każdy liść zaczyna się od 20 o. pow. z tych 3 ostatnie omija się a w czwarte 1 sł. raz nawijany dalej 1 sł. 3 razy nawijany 10 sł. cztery razy nawijanych 2 sł. trzy razy, 2 sł. dwa razy nawijane, 3 o. pow., złączone z oczkiem początkowym, poczem cały liść obrobić rzędem o. śc. przybierając w górnym końcu, dla nadania formy spiczastej.

Każdy z dwóch okręgów, stanowiących kwiat, składa się z 9 liści. Liście rzędu wewnętrznego łączą się podwójnie 3ma i 9 oczkami, zaś rząd zewnętrzny jest tylko raz za 4 o. połączony, poczem zakładają się koła jedno na drugie i zeszywają w ten sposób, ażeby górne końce liści inijały się z sobą. Pusty środek obrabia się 9 sł. i wszywa suty kwast 8 cent. długości; liście wygina się w jednym rzędzie na zewnątrz, w drugim na wewnątrz.



N. 40. Paletocik dla dziecka. Tło w rzucik. Robota w ramach. Patrz N. 11 i 13.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 9 Tyg. Mód.



N. 42. Berta w kształcie gorsecika z karoczkiami. Plecy.



N. 41. Berta w kształcie gorsecika z karoczkiami. Przód.



N. 44. Szlaczek do berty do N. 43.



N. 45. Frendzla do kokardy przy bercie do N. 43.



N. 43. Berta gorsecikowa. Patrz N. 44—45.